Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.

Nr. 35 (539). *WARSZAWA, 31 sierpnia 1929 r.* *ROK XXII.*



ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

KONTO P. K. O. „Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich" 8082.
ADRES: NOWY - ŚWIAT 35. TELEFON 7-98.

Pismo tygodniowe. Wychodzi w każdą sobotę.

PRENUMERATA: zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedyńczy — 1 zł. **Numer ozdobny** 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.

CENA OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 40 groszy; cała strona — 224 zł., ½ — 112, ¼ — 56, ⅛ — 28. Przed tekstem — 50% drożej; na karcie tytułowej — 100% drożej.

W numerach ozdobnych: za tekstem 60 gr., strona — 336 zł., ½ — 168, ¼ — 84, ⅛ — 42. Przed tekstem — 50% drożej. Na karcie tytułowej i okładce — 100% drożej.

Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

DO PP. AUTORÓW I KORESPONDENTÓW.

Stosownie do porozumienia się pp. redaktorów, prosimy uprzejmie, aby PP. Autorowie wszelkie artykuły oraz listy przeznaczone do druku, przesyłali wyłącznie pod adresem: Redakcja „Łowca Polskiego", Nowy Świat 35.

SEKRETARJAT REDAKCJI.

NIEOTRZYMANE NUMERY.

Prosimy uprzejmie Szanownych Czytelników „Łowca Polskiego" o wczesne zawiadamianie nas o nieotrzymanych numerach pisma.

Reklamacje będą uwzględniane tylko w ciągu trzech tygodni od daty wyjścia danego numeru.

ADMINISTRACJA.

Wilkiem orać.

Kto niechętnego przymusza do pracy,
Chce wilkiem orać, jak mówią polacy.

Gdzie zając?

Tam do licha! Zdaje się, że zabiłem zająca, ale zdaje się, że nie wiem, gdzie mi się podział!

Pies i telegraf.

Mój kumotrze, a jak to jest z tym „tyligrofem", że jak na jednym końcu śturko, to na drugim godo?

Ano, widzita kumie, to je tak samo, jak gdy nie przymierzając, psu z tyłu na ogon nadepniecie, to z przodu gęba sceko...

Z PRZYSŁÓW MYŚLIWSKICH.

Broń miejscem, rusznica w lesie, kopia w polu miecz na ulicy, puginał w cieśni — straszne są.

Broń pewna, żona gładka — rozkosz doczesna.

Chłop się rodzi do sochy, lecz szlachcic do broni.

W koniu się kochać, a nie umieć na nim jeździć; broń nosić, a nie umieć nią władać — chlubnego raczej, aniżli rozsądnego sprawa.

Czesław Odrowąż-Pieniążek — W CESARSTWIE MENELIKA.

Woda w jeziorze, tak wstrętna do picia, była jednak dla mnie niesłychanie miłem urozmaiceniem czasu przez kąpiel, której zażywałem, ile się dało. Postój nasz tutaj miał tę dobrą stronę, że odznaczał się zupełnym brakiem złośliwych much. Humor poprawił mi się, gdyż muły przychodziły do zdrowia i rany na suchym wietrze szybko się goiły.



Kuchnia moja nabrała cech wykwintu: Naprzykład dnia 12 marca skromna kolacja, gdyż tylko raz dziennie pitraszono jedzenie, w dniach, kiedy polowałem, składała się: rosół z Kudu a la Polonais z groszkiem, ryba z rusztu a la Laclangano, dzika kaczka z rożna a la Kaliffa, herbata, placek z mąki prażonej, z masłem z Bombaju, i konfitury szwajcarskie — słowem, menu — niczem w hotelu Europejskim w Warszawie, tylko odrobinkę lepsze w smaku.

Od chwili odnalezienia w tej okolicy tego tak ważnego punktu z wodą, nazwanego Kolba, a niezaznaczonego na żadnej ze znanych map Abisynji, miałem zapewnioną normalną egzystencję. Znalazłem następnie liczne fumarole i źródła gorącej wody siarczanej, która w smaku nie różniła się wiele od wody w jeziorze.

Najkrótsza droga do zbawiennego źródła Kolba była przez jezioro. Zmiarkowali to moi ludzie, którym wcale nie uśmiechała się codzienna, sześciogodzinna podróż pieszo, w upał, po wodę. Bez mojej wiedzy dali swoje manierki rybakowi, zamieszkałemu na pobliskiej wyspie, a ten na kajaku, używanym w tamtych stronach, zrobionym z łodyg papyrusów, miał przywieźć potrzebną wodę. Finał tej, dla ludzi moich bardzo przykrej w rezultatach imprezy odegrał się w mych oczach. Kajak, wiozący tak upragniony nektar, wyleciał nagle ze swoim kapitanem w powietrze, jak storpedowany. Rybak z niesłychaną szybkością zaczął płynąć sam do brzegu, pozostawiając łódkę na łasce losu. Przyczyną wypadku był, rzadko zresztą zdarzający się, atak hipopotama, któremu zakłócono poobiednią drzemkę na powierzchni wody. Zostały teraz na sześciu ludzi tylko dwie litrowe manierki. Mnie to bezpośrednio nie dotknęło, gdyż miałem dla siebie dwa angielskie worki kolonjalne na wodę, pojemności po 3 litry każdy.

Od kilku dni zauważyłem znowu częste, krzykliwe wiece wśród moich ludzi. Od Engedy, który miał surowy nakaz donoszenia mi wszystkiego, co się w obozie dzieje, dowiedziałem się, że kucharz Gurmu i jeden z askarów, Mohamed, buntowali resztę ludzi, by mnie opuścić, nim się dalej jeszcze zagłębię w te niepewne okolice.

Rano, zebrawszy całą moją hołotę przed namiotem, spytałem się wręcz przywódców rokoszu, o co im chodzi. Zaskoczeni mojem pytaniem — milczeli. Wówczas oświadczyłem, że ci wszyscy, którym się u mnie nie podoba, mają natychmiast obóz opuścić!

Zrobiło się zamieszanie: Engeda (tłumacz) i Zergu oświadczyli, że w żadnym wypadku mnie nie opuszczą; Kumalu, Mohamed i Gurmu zaczęli zbierać swoje manatki, szykując się do odejścia; Kumalu zresztą namyślił się i prosił, by mógł zostać. Mohamed i Gurmu zatem, wziąwszy nogi za pas, znikli. Pozostałem z trzema ludźmi, a przewodnik Safao, przyjęty w Adami-Tulu, oświadczył mi, że doprowadzi mię tylko do rzeki Horakallo, granicy szczepu Gambo, którego arusi obawiali się i z którym stale byli na wojennej stopie. Z trudem znalazłem chłopaka ze szczepu Sidamo, który nibyto kilka lat temu był u misjonarzy i znał drogę.

16 marca ruszyłem dalej na południe, załadowawszy z wielkim trudem bagaże karawany na muły. Dwaj przewodnicy, których teraz miałem, okazali się zupełnie niezdolni i niechętni do jakiejkolwiek roboty. Po trzech godzinach, minąwszy graniczną rzeczkę Horakallo, łączącą rozdzielone wąskim przesmykiem jeziora Langano, Sewetta i Hora-Abjata, zatrzymałem się, gdyż opuszczał mnie względnie uczciwy przewodnik z Adami-Tulu, klnąc się na wszystkie swoje świętości, że pod żadnym warunkiem dalej iść nie może.

Znowu utknąłem przy jeziorze Langano. Cały skład karawany, składający się już tylko z trzech ludzi i dzieciaka-przewodnika, napawał mię wątpliwością, czy wogóle dobrnę kiedy do misji. Nad wieczorem zupełnie przypadkowo znalazłem w krzakach nad wodą, hipopotama strzelonego kilka dni temu w miejscu odległem o 10 km. od poprzedniego obozu. Do pewnego stopnia zidentyfikowałem z łatwością sztukę, znalazłszy w czaszce dziurę od kuli i resztki



zupełnie jeszcze świeżej skóry i mięsa. Tajemnica wyjaśniła się: mieszkańcy nadbrzeżni, dla których największym smakołykiem jest mięso hipopotama, zjedli go. Dostał się on tu, prawdopodobnie przyniesiony prądem i silnemi wiatrami, gdy wypłynął na powierzchnię. Wiatry tutejsze były bardzo silne i na ostatnim postoju pozrywały mi kilkakrotnie namioty. Wracając do hippototama, byłem przekonany, że to był mój, gdyż broni palnej w tej okolicy prawie że niema, a żadnego europejczyka, któryby tu polował, również nie było. Z trudem wyrąbałem kły, zdziwiony, że ich smakosze miejscowi nie zdołali zabrać. Dn. 16-go marca a 25 dnia mojej wyprawy założyłem obóz Nr. 9.

Obóz Nr. 9.

Engeda awansował: oprócz poprzednich, spełniał obecnie funkcje kucharza, praczki i osobistego boya i musiał, jak i ja, trzymać wartę w nocy.

Zwykle na noc pomiędzy obydwoma namiotami wbijane były kołki stalowe, do których przywiązana była gruba lina z pętlami. Muły, zwyczajem krajowym, przywiązywane były tylko za przednią nogę, mając przed sobą ułożoną długą warstwę trawy, którą się pożywiały. Po obu stronach tej liny paliły się całą noc niegasnące ogniska, dla odstraszania dzikich zwierząt i złodziei. Funkcja wartownika z musu podobała mi się. Siedząc tak kilka godzin na fotelu przy ognisku, wsłuchiwałem się w odgłosy i szepty tajemniczej nocy afrykańskiej...

Rano zauważyłem brak wagi, którą regulowałem przed każdym odmarszem ciężar poszczególnych par pak. Zawinił Engeda. Wysłałem go z jednym z ludzi, aby szukał tej zguby; beznadziejne poszukiwanie, jakby szpilki w stogu siana. Wrócili naturalnie z pustemi rękoma po kilku godzinach, ja zaś wściekły byłem z powodu tej dotkliwej zguby. Trzeba było teraz w rękach ważyć poszczególne paki, które parami powinny być bezwzględnie zawsze równej wagi; w przeciwnym razie paki źle zważone, usuwają się łatwo z grzbietów mułów.

Nakazałem dalszy marsz, (poraz pierwszy zmuszony byłem pomagać ładować muły) — i ruszyliśmy. Było południe, upał piekielny. Jak się okazało, z miejsca zmyliliśmy drogę i poszliśmy gorszą i dłuższą. Droga ta dała nam się dobrze we znaki; paki źle dobrane pod względem wagi, źle przytroczone, ciągle się obsuwały. Do ładowania jednego muła potrzebni są trzej ludzie, a nas było wszystkiego pięciu i siedem niesfornych mułów. Istny dom warjatów: w trakcie poprawiania ładunku jednego muła, inne, korzystając z braku nadzoru, rozłaziły się, — jeden kładł się w piasku, bo miał dosyć spaceru, i próbował się tulać, inny wlazł pomiędzy dwa drzewa i nie mógł się ruszyć ani wprzód, ani wtył, inny znów truchcikiem szedł naprzód, a jeden, który widocznie czegoś zapomniał w ostatnim obozie, poważnie powracał! Nareszcie z trudem zebrano wszystko, i ruszyliśmy, by w krótkim czasie mieć znowu podobne urozmaicenie w drodze.

Tak wlekliśmy się do zachodu słońca, bez wody, zmęczeni i wyczerpani zupełnie, póki nie osiągnęliśmy nareszcie południowego krańca jeziora Langano.

Rozkoszną niespodzianką było dla nas, oddalone o kilkaset kroków od brzegu jeziora źródło przeczystej zimnej wody, otoczone łączką zielonej i soczystej trawy. Tu klapnęliśmy bezsilni i rozłożyliśmy obóz.

Obóz Nr. 10.

Popasaliśmy w tem miejscu całe pięć dni. Nowością obozu Nr. 10 były miljardy złośliwych much, co się zaraz odbiło na zdrowiu dwóch niezupełnie wyleczonych mułów. Kumalu zachorował i prosił o danie mu „kosso", niezawodnego środka abisyńskiego na solitera, który otrzymuje się z drzewa kosso, bardzo licznie rosnącego na wysokich szczytach. Cały dzień spędziłem, odpoczywając bezczynnie, z wyjątkiem tych chwil, w których byłem znowu zajęty przykrym opatrunkiem mułów.

Kupiłem, dla odmiany menu, trzy kury i dwanaście jaj za trzy bessa (jeden złoty); chleba nie widziałem od czterech tygodni. Miałem backing-powder i mąkę — spróbowałem więc upiec sobie chleb, gdyż na placki z mąki nie mogłem już patrzeć. Długo kombinowałem, jak się do tego zabrać, ostatecznie kazałem w specjalnie wykopanym dołku rozpalić duży ogień; w trakcie tego przygotowałem ciasto, zaprawione na oko solą i backing-powdrem, i rozłożyłem je na wklęsłej blasze, używanej przez moich ludzi do robienia placków. Blachę tę nakryłem drugą i postawiłem na żarzących się węglach. W czasie gdy się piekł ów pierwszy chleb, widząc bardzo ciekawe i ładne typy półnagich kobiet, ubranych w skórzane spódnice, zacząłem je fotografować. Kobiety przyszły do źródła po wodę i z zainteresowaniem przyglądały mi się, szczególnie zaś moim białym shortom. Bardzo dyskretnie, jak mi się zdawało, wycelowałem aparat na tę malowniczą grupę, jednakże spowodowałem tylko ucieczkę nadobnych nimf z piskiem i śmiechem.

C. d. n.





POLITYKA ŁOWIECKA W LASACH PAŃSTWOWYCH.

Artykuł zamieszczony w N-rze 27 „Łowca P." p. t. „O politykę łowiecką w lasach państwowych" wzywa do polemiki lub dyskusji na poruszony w nim, żywotny i ważny temat. Dyskusja taka jest rzeczywiście nader pożądana, gdyż powiedzieć, niestety, można, że wyraźnej polityki łowieckiej nie posiadamy wcale, albo też jej nie praktykujemy.

Zgóry zastrzedz się muszę, że nie zamierzam w poniższych uwagach rozwinąć programu polityki łowieckiej, jest to tylko garść myśli i uwag tyczących się łowiectwa w lasach państwowych Zachodniej Dzielnicy, które są terenem mej zawodowej pracy, tem więcej, że nie znam obecnych stosunków łowieckich w reszcie kraju. Uwagi poniższe dotyczyć zatem będą stosunków łowieckich lasów państwowych Wielkopolski i Pomorza.

Przedewszystkiem poruszyć chciałbym sprawę formy wykonywania polowania w obwodach łowieckich własności państwowej, w danym razie w lasach państwowych. Szan. autor wspomnianego artykułu odmawia podstaw prawnych stosowanemu obecnie systemowi wydawania kart łowieckich państwowemu personelowi leśnemu, dopatrując się w art. 27 prawa łowieckiego przeszkód do takiego postępowania. Nie wnikając zresztą w to, czy ujęcie prawne jest słuszne, praktycznie biorąc, jest obojętne, na jakiej podstawie prawnej personel leśny uzyskuje karty łowieckie. Jak sam autor zauważa, w zrozumieniu prawnem, do wydania karty wystarcza zezwolenie udzielone przez właściciela (w danym razie Dyrekcję Lasów czy Nadleśnictwa). Pomijam tu w zupełności kwestję wydawania funkcjonarjuszom lasów państwowych bezpłatnej karty łowieckiej, jak to postanawia art. 34 prawa łowieckiego, podczas gdy personel leśny niepaństwowych lasów, przywileju tego jest pozbawiony.

Za brak w ustawie, czy też jej stosowaniu, uważam natomiast nieokreślenie, że bezpłatna karta łowiecka wydana personelowi leśnemu, ma walor wyłącznie przy wykonywaniu polowania na terenie łowieckim państwowym. Przy obecnym systemie funkcjonarjusze lasów państwowych są niejako uprzywilejowanymi myśliwymi. Zostawmy im zresztą ten skromny przywilej, mając na uwadze, że stan urzędniczy naogół, a leśny w szczególności, tak niewiele przywilejów posiada!

Wracając do strony praktycznego wykonywania polowania w lasach państwowych, pozwolę sobie poniżej przedstawić stan istniejący w lasach państwowych Wielkopolski i Pomorza.

W odróżnieniu od pozostałych zarządów lasów państwowych, lasy tutejsze pod względem gospodarki łowieckiej administrowane są dotychczas według pruskich wzorów zaborczych, a mianowicie polowanie wykonywa administracja lokalna, leśna, na korzyść Skarbu, a na własny koszt. Brzmi to paradoksalnie, niemniej jest tak w rzeczywistości.

Oznacza to, że Zarząd lasów państwowych, jako właściciel (w danym razie Dyrekcja lasów) ustala na podstawie posiadanych wiadomości o liczebności zwierzostanu, na każdy rok łowiecki, rozmiar ilościowy dopuszczalnego odstrzału; oznacza również ceny jednostkowe na każdy rodzaj zwierzyny, jako opłatę wpływającą do kasy państwowej. Ubitą zwierzynę zatrzymać ma prawo nadleśniczy, jako administrator łowiska, po opłaceniu oznaczonej należności skarbowej, pokrywając z własnych funduszów i zysku z zużytkowanej zwierzyny, wszelkie koszty polowania, ochrony i hodowli w powierzonem jego pieczy, łowisku. Tylko ustawowe należności z tytułu szkód wyrządzonych przez zwierzynę w plonach rolnych, pokrywane są z funduszów skarbowych.

Ceny jednostkowe, określane na każdą zwierzynę, oprócz drapieżników, odbiegają nieznacznie od wartości handlowej, po potrąceniu kosztów polowania, których, jak nadmieniłem powyżej, zarząd lasów nie ponosi.

Jako przykład podaję ceny obowiązujące za kozły (rogacze) i zające, jako podstawową zwierzynę w tutejszych lasach:

Rogacz: 15 zł. Cena handlowa, eksportowa . . . . 35 do 45 zł.
Zając: 4—5 zł. Cena handlowa, eksportowa . . . . 7 „ 12 „

Dla każdego obznajmionego z wysokością kosztów polowania leśnego i inych wydatków związanych z łowiectwem, jak dzierżawienie polowań przylegających do lasu, dokarmianie zwierzyny podczas ciężkich zim, jasne jest, że administratorzy polowań nie mają, oprócz wyjątkowo dobrych i zasobnych łowisk, żadnych korzyści, po za możliwością zadowolenia swej pasji łowieckiej.

Nie przeczę wcale, że i Państwo niewiele dochodu przy systemie tym osiągnąć może. Kwoty też, które z tytułu dochodów z łowiectwa do kas wpływają, zaprawdę są śmiesznie niskie w porównaniu do obszaru łowisk.

Dlatego też, jak i z innych względów. system ten obecnie daleki jest od idealnego, lecz uznać go trzeba, jak dotychczas, za pożyteczny, ponieważ gwarantuje przynajmniej istnienie choćby żelaznego stanu zwierzyny w lasach państwowych. W wypadkach, gdy administratorem łowiska przez kilka choćby lat jest myśliwy-hodowca, system ten doprowadza do bardzo wydatnego, ilościowego i jakościowego podniesienia się zwierzostanu. Dowodów na powyższe w dostatecznej mierze dostarcza wystawa łowiecka obecna, jak i materjały statystyczne, dotyczące zwierzyny w lasach państwowych.

Złe strony tego systemu widzę natomiast w tem, że:

1) nie wszyscy, niestety, administratorzy łowiecy są myśliwymi, a zbyt mała jeszcze jest liczba hodowców;

2) hodowla i opieka nad zwierzyną w lasach państwowych nie może być na stałe oparta na dobrej woli, a przedewszystkiem na zasobach materjalnych urzędników (nie wielkie to zwykle zasoby);

3) system ten zbyt wolno doprowadzi do takiego zwierzostanu, jaki lasy nasze powinny stale posiadać.

Dlatego też już przed kilku laty na łamach „Łowca P." występowałem z projektem rozszerzenia tego systemu.

Uważając dzisiaj ryczałtowe wydzierżawienie łowisk w lasach państwowych za niepożądane, gdyż nie mamy, niestety, dostatecznej ilości prawidłowych myśliwych, a istniejący nie posiadają dostatecznych środków, aby mogli dzierżawić i zagospodarować należycie te łowiska, — uważam za konieczne pozostawienie znacznej części terenów w administracji Państwa, i to w sposób następujący:

1. Zarząd Lasów Państwowych powinien położyć silny nacisk na to, aby kierownicy nadleśnictw państwowych byli myśliwymi, jeżeli są administratorami łowisk. Obecnie wykształcenie łowieckie, tak teoretyczne, jak i praktyczne, szwankuje w bardzo wielkim stopniu. Starsza generacja leśników odpowiada i sprosta jeszcze jako tako wymaganiom, lecz współczesna jest pod względem łowieckim bardzo zaniedbana.

Nie jest przecież możliwe, aby łowiectwem w lasach państwowych administrować z korzyścią mogli niemyśliwi, tem więcej, jeżeli „Ministerstwo Rolnictwa skłania się w polityce łowieckiej na drogę etatyzmu".

2) Wszelkie łowiska państwowe, leśne, które nie mają dostatecznej w stosunku do obszaru i zamożności gleby, ilości zwierzyny, powinny być administrowane we własnym zarządzie, ograniczając użytkowanie i odstrzał do koniecznych rozmiarów. Łowiska zupełnie opustoszałe, powinny być zaopatrzone w zwierzynę pozyskaną z odpowiednych, a zamożniejszych łowisk.

3) W łowiskach administrowanych przez nadleśniczych-myśliwych, lub posiadających pozostały personel leśny, składający się z myśliwych, połowę terenu łowieckiego zatrzymać we własnej administracji, zobowiązując, jak i dotychczas, administratora łowiska do obracania wszelkich dochodów płynących z łowiectwa, na cele hodowli i rozmnażania zwierzyny.

W razie braku dostatecznych dochodów, potrzebne na powyższe cele fundusze powinny być asygnowane z kasy państwowej.

W celu podniesienia dochodowości w zamożniejszych łowiskach, należałoby część odstrzału (większą, niż się to obecnie odbywa) oddawać za stosowną opłatą postronnym (jelenie, daniele, kozły, dziki i głuszce oraz cietrzewie).

Administratorzy polowań za swe trudy i pracę odszkodowani by byli sowicie widomymi rezultatami hodowli, oraz możliwością wykonywania przez nich i pomocniczy personel, polowania i choć miernego odstrzału.

4) Pozostałe części łowisk wydzierżawić należałoby na dłuższe okresy czasu, niemniejsze, niż lat 12, zrzeszeniom łowieckim, gwarantującym, że uzyskane łowiska będą racjonalnie użytkowały.

Umowy dzierżawne powinny być zredagowane w sposób zapewniający dostatecznie ingerencję władz nadzorczych, z drugiej strony, żeby nie krępowały niepotrzebnie i nie utrudniały dzierżawcy realizacji swych planów.

Nie należałoby również wykluczać z pośród dzierżawców, osób pojedyńczych, czy też spółek, byle tylko odpowiadały warunkom.

5) W razie znalezienia się odpowiednich osób, czy też zrzeszeń, łowiska oznaczone pod 2, możnaby było wydzierżawić na ulgowych warunkach na tych samych zasadach, jak w poprzednim punkcie wymieniono.

Taką pośrednia pomiędzy zbyt etatystycznem, ale też i zbyt liberalnem traktowaniem łowiectwa w lasach państwowych, możnaby, mojem zdaniem, najkrótszą i najmniej ryzykowną drogą stworzyć trwałe podwaliny do rozwoju łowiectwa. Tylko ścisła bowiem współpraca myśliwych i leśników jest w stanie stworzyć odpowiednie warunki do istnienia dobrych zwierzostanów, i doprowadzić je do najwyższej możliwie granicy.

A mamy przecież knieje, jakby stworzone na to, aby pełne były zwierzyny i dawały nietylko znaczne dochody materjalne, ale były niewyczerpanem źródłem rozkoszy myśliwskich.

J. KURPIŃSKI.



NASZE ŁOWY.

Kaczka, jako taka, jest zadziwiająco miłym darem niebios. Czy w towarzystwie buraczków lub borówek, czy duszona (po śmierci) w śmietanie, czy z koprem, jak zaleca pewien gastronom-niemiec, „pod wódkę" lub poprostu na sucho — w każdym wypadku ptak ten godzien jest bliższej uwagi — poniekąd referatu. Niektórzy nawet twierdzą, że kaczka nieznajdująca się na półmisku, czyli za życia doczesnego, też jest wcale wdzięcznem stworzeniem.

Ci idealiści — są to, oczywiście, myśliwi.

Ponieważ obcowanie z nimi pokrzepia fizycznie i moralnie, nie mówiąc już o przyroście dowcipu — więc jedźmy na kaczki!

Ze względu jednak na zdrowotny w Polsce okres rozwoju ustawodawstwa, muszę się zastrzedz: jedzmy na swój własny teren, ewentualnie za zaproszeniem i w czasie dozwolonym.

Akurat w ten sposób i ja się urządziłem onegdaj. Nie myślę tu mówić o sobie i o swoich wrażeniach, wychodząc z założenia, że gdyby każdy myślał o bliźnich, to na świecie byłoby lepiej i — że się tak wyrażę — objektywniej.

Prócz mnie przyjechał Wacio, chluba myśliwych w Zakłodziu, któremu jedno tylko można było zarzucić: mianowicie w czasie ochronnym strzelił dwukrotnie do zająca naturalnej wielkości, wymalowanego olejno i kiepsko na płótnie przez lokalnego artystę.

Wyniósł za stodołę i zastrzelił.

Podobno w dniu tym Wacio tak się rozochocił, że i malarza chciał gwałtem uśmiercić, jako że zająca nietylko namalował, ale w dodatku sprzedał za gruby pieniądz. Ale malarz był nieobecny wszędzie tam, gdzie przemieszkiwał kątem. — Był doktór Prosper, tak pożerany przez namiętności łowieckie, że w najsuchszych, górskich okolicach dostawał febry, w rodzaju nienotowanym dotychczas w żadnym leksykonie lekarskim. A objawy? — zapytacie. Objawy były tego rodzaju, że na polowaniu krzyczał, biegał, zarządzał, przestrzegał, zapowiadał... i chciał być jednocześnie na wszystkich stanowiskach prócz tego, które mu wyznaczono. Pozatem bardzo miły i uczynny człowiek.

Doktór pociągnął za sobą i aptekarza — dla kompletu, bo proboszcz nie polował. I ten gość podobał się wszystkim od pierwszego wejrzenia: wysoki, smukły, jak butelka oryginalnego, włoskiego „Banana", z niedowierzającym uśmieszkiem (skutek długoletniego obcowania z receptami) na obliczu, z pewnem zakłopotaniem (rumienił się) nosił swą broń w nowiuteńkim futerale, mimowoli pozując na zamożnego cudzoziemca, oczekującego pociągu gdzieś na małej stacyjce poleskiej.

Był nawet i redaktor miejscowego organu, pan Kropik, postać krótka i zażywna, jak przystało na solidne ciało opinjodawcze. Lekki zez nie szkodził mu zupełnie: owszem, rozszerzał pole widzenia i wzbudzał należytą ostrożność. Gruby notes i takiż reklamowy ołówek wyzierały z jego bocznej kieszonki, zamiast lekkomyślnej, jedwabnej chusteczki. Redaktor tak często sporządzał doraźne protokóły z objawów życia, że jego interlokutorzy co chwila dodawali: „zapisz pan sobie!". I pan Kropik pisał skwapliwie, mając jedno tylko ciche marzenie: zaprawić miejscowych autochtonów do czytania bodaj drukowanego.

Więc pewien smętek wyzierał z jego oblicza i pewne skłonności do liryki. Strzelbę przecież trzymał w identycznej gotowości, jak i ołówek, ujawniając niezbicie, że jest człowiekiem czynu bez względu na huk i skutki, jaki ten czyn wywołać może.

Przyjechał i emerytowany sędzia Wrzos, starszy pan dorodnej wielce tuszy. Połamał resory u bryczki, ale jakoś dojechał. Przy wysiadaniu z bryczki tak się zmęczył i zasapał, że to mu zupełnie wystarczyło. Po krótkim wypoczynku na zielonem łonie natury sędzia wycofał się z imprezy, udając się świeżymi końmi do gościnnego dworku pana Osypkiewicza, gdzie w spokoju pokrzepiał się snem aż do wieczora. Żałowaliśmy go serdecznie, był to bowiem jeden z tych myśliwych dawnego autoramentu, dla którego w swoim czasie było łatwiej zabić niedźwiedzia, niż nam zobaczyć na grzbiecie żyda wypłowiałe futro z tego groźnego drapieżnika.

Ale mówi się — trudno!

A gdy w końcu przybył i kochany gospodarz razem z naczelnikiem kasy skarbowej i panem z akcyzy (prócz rybnych stawów była i gorzelnia w folwarku), to zabawa mogła się już rozpocząć na dobre.

Stawy były piękne i posiadały piękne nazwy, umieszczone na estetycznych palikach, a pochodzące bądź od położenia geograficznego („Skrajny"), bądź od zaludnienia („Żabi"), bądź wreszcie od długoletniego dostawcy pieniędzy („Fajwisz"). Była i „Topiłka" — nazwa tchnąca tragizmem wspomnień.

Od tej to właśnie „Topiłki" zaczęły się łowy. Chłopcy pospołu z pieskami weszli do wody, a myśliwi otoczyli stawek dokładnie. Ci ostatni, trzeba przyznać, szli jak za karawanem — widocznie wskutek braku zaufania w swe siły lub w pomyślny rozwój najbliższych wypadków, a to jest bolesne.

Wacio, z którym podzieliłem się po bratersku swem spostrzeżeniem, machnął ręką: „Boją się jeden drugiego i tyle!" Sam jednak przezornie cofnął się „na przygotowane uprzednio stanowisko" i długo się rozglądał, jakby szukając dogodnych terenów do ucieczki.

W pewnym momencie rozległ się ogłuszający wrzask naganki: „Trzymaj, pilnuj, o! o!".

Z gęstwiny sitowia wyjechała cyranka i nie wzbijając się, zatoczyła dwa kręgi nad „Topiłką"; później jakimś niezdecydowanym lotem jęła się zbliżać ku pstrej czapce redaktora. Było to niemal symboliczne i ktoś złośliwy przysiągłby, że jest to impulsywna tęsknota do miejsc rodzinnych. Redaktor narazie wzniósł osłupiałą lewicę ku górze, jakby broniąc się przed ciosem, potem, opanowawszy sytuację, porwał broń, wymierzył i trzymał cyrankę na muszce (prawdopodobnie) dopóty, dopóki nie zapadła na sąsiedni stawek.

„To się nazywa dokładnie celować!" — zauważył Wacio.

Zaś gospodarz huknął z drugiego końca stawu:

„Czy to znajoma, redaktorze?!"

„Wraca, jak Boga kocham, wraca!" — krzyknął naraz Wacio i strzelił dwukrotnie.

„Wraca!" — jęknął skarbnik i palnął do estetycznej tabliczki z napisem „Fajwisz".

I tak każdy sobie pofolgował wedle gustu: ten do stałego przedmiotu, ten w powietrze, inny zaś zupełnie się wstrzymał od udziału w morderstwie. Tymczasem cyranka, nie uroniwszy ani jednego piórka, zwinna i zadowolona ze spełnienia swych obowiązków, bo przecież wszystkim użyczyła emocji łowieckiej, znów zapadła w gęste poszycie „Fajwisza".

Redaktor płakał z radości: „Widzę, że to serdeczna przyjaciółka całej kompanji! tylko po co te huki — fe!".

„Niech to wszyscy djabli!"—mruknął doktór, wyrzucając z broni dymiące gilzy.

„A to nam pokazała sztukę!" — głosił skarbnik, przedmuchując swoim zwyczajem flintę.

„Leci znów! pilnuj!" — rozległ się krzyk pana z akcyzy.

Istotnie, nieśmiertelna cyranka wracała.

Po małej chwili dym przesłonił staw i myśliwych, zaciekle broniących zagrożonej pozycji; powstał huk tak straszny, że stado swojskich gęsi, pasące się opodal, wzleciało ku górze i pożeglowało, wrzeszcząc, w kierunku lasów. Chłopcy tarzali się na groblach, pokrzykując radośnie i łowiąc w powietrzu sprawnie wyrzucane gilzy.

Szanowni czytelnicy! Piszę te słowa zbolałą ręką, boć i ja tam byłem... ale wierzajcie mi, że podobnych wizyt tego szatana w kaczym puchu mieliśmy pięć. Z ciężkiem sercem, zdruzgotanym dowcipem i niemal próżnemi ładownicami opuściliśmy przeklętą „Topiłkę". Pozatem: sza! Dodam tylko, że przez długi czas czuliśmy zabobonny strach przed gatunkiem kaczki, zwanej cyranką, po łacinie Querquedula, to też rozwielmożnił się ten ród niebywale w całej okolicy z przyległościami.

Każdy amator regjonalnego piśmiennictwa mógł w południe następnego dnia wyczytać w „Głosie Zakłodzia":

„...gościnność iście staropolską i przepiękne, pełne zwierza (!!), tereny. Zaszedł przecież wypadek, który mógł za sobą pociągnąć więcej niż poważne skutki, dowodząc niezbicie i niewiadomo poraz który, że igraszki niepowołanych rąk z bronią, w której drzemią dwa (czasem i więcej) zaklęte pioruny"... i t. d., i t. d....

Jako naoczny świadek tej drobnej awanturki, przedewszystkiem nazwałbym ją wypadkiem pośrednim.

Było to tak: na strupieszałym mnichu, który już dawno zapomniał, kiedy i z jakiego drzewa został zbudowany, siedział pan rewizor, napawając się krajobrazem wsi polskiej i marząc o słodyczy pełnej, a tak bliskiej emerytury. Djabli nadali (bo któż inscenizuje takie sprawy?) kurkę wodną, myśliwca i nabój drobnego śrutu. Rzeczy te w decydującym momencie znalazły się na jednej i tej samej linji prostej z mnichem, nie uważając, że na mnichu siedzi przecież starszy człowiek. Kurka, jako ptaszek niewielki i sprytny zboczyła widocznie z obranego kierunku, zaś nabój śrutu (uwaga, wynalazcy!) nie mógł tej prostej rzeczy uczynić. Pchał się dalej dzięki najgłupszej zasadzie fizyki, zwanej bezwładnością czyli inercją. Nic tedy dziwnego, że pan rewizor ze zwinnością... początkującej panny-maszynistki zeskoczył z mnicha, rzucił flintę (tu mógł wydarzyć się drugi wypadek) i kreśląc rękami i nogami hyperboliczne łuki, zdecydowanie uchwycił się za wysłużony, lewy pośladek. Wydał przytem w stronę błękitnie obojętnego nieba okrzyk: — Co to za cholera!

Powstała ogólna konsternacja. Nieszczęsnego rozdawcę piorunów zbesztano tak strasznie w kilku językach, że ten, bełkocąc coś na swoje usprawiedliwienie, rzucił się do ucieczki. Sądził w przestrachu, że będą go bić. Ponieważ uciekający subjekt wzbudza nietylko w charcie, ale i w człowieku chęć pogoni, więc Wacio puścił się był za nim. Pan aptekarz, (on to był bowiem) należycie wypoczęty i obdarzony przez naturę długiemi nogami, dopadł swej bryczki i pośpiesznie odjechał, ratując swą nietykalność osobistą.

Doktór Prosper rzucił doświadczonem okiem na bolączkę, która tymczasem nabierała wyglądu kałamarza, wypełnionego atramentem, i mruknął: „Rykoszet od mnicha... spokój i zimne okłady... ale mogło być gorzej!".

Wszyscy westchnęli i pochylili głowy, zaś ofiara namiętności myśliwskiej zapinała dotyczącą część garderoby.

Nauka w las nie poszła: odtąd polowaliśmy w należytem skupieniu ducha i pod znakiem ostrożności.

Na widok wzlatującej kaczki plackiem padaliśmy w trawę. W ćwiczeniu tem doszliśmy do niesłychanej biegłości, chociaż wyraźnej komendy nie było. Wszystko na świecie może się przydać, ale wszystko się i uprzykrzy. Po pewnym czasie myśliwi rozbiegli się w tyraljerkę, aby odetchnąć nieco swobodniej i podziwiać się zdaleka.

Piękny jest widok, gdy z pozornie uśpionego bagienka poderwie się ociężale, z kwakaniem krzyżówka. Zdarzyło się to Waciowi, gorączce, jakich mało. Spudłował wprawdzie dwukrotnie, ale jakimś cudem zdążył strzelić poraz trzeci. Meta była już poważna, to też ze zdumieniem obserwowaliśmy, jak kaczka drgnęła, obniżyła lot i wreszcie wylądowała tuż pod lasem.

Wacio nabrał ruchu. „Neptuś! aport! aport, Neptuniu!".

Mądry piesek, który zapewne z nudów wiejskich zaprawiał się w polowanie, popędził we wskazanym kierunku, ledwie nadążając za Waciem.

Jednak redaktor był bliżej. Uważając, że polowanie jest rodzajem wyścigu, podbiegł, wycelował i strzelił. Po chwili wyniósł z trawy trzepoczącą się kaczkę i, jawnie tryumfując, zbliżył się do grupy myśliwych, debatujących nad dalekim strzałem Wacia.

Ten wyciągnął rękę: „Dziękuję panu, bardzo panu dziękuję!".

„Za co? Kaczkę ja zabiłem!".

„Czy pan kpi... paneś zabił?".

„Oczywiście, ja we własnej osobie! Rozumując pańską metodą, nikt nie byłby pewien swej zdobyczy, bo przecież mogła być ona tysiąc razy strzelana" — dowodził redaktor.

„Tembardziej, że strzał do zabitej kaczki i tak jest ciężki, bo nigdy niewiadomo, czy się ją trafiło" — dodał skarbnik.

Wacio machnął ręką: „Niech i tak będzie!" — dając tem dowód choć markotnej, ale i tak rzadko spotykanej bezinteresowności.

Tak tedy nawet zezowaty redaktor zdobył kaczkę. Wiedział ten chytry człowiek od Makuszyńskiego, że los jest wogóle tępy i że trzeba mu pomagać, jak sztubakowi w algebrze. Miał on już dosyć rozkoszy łowieckich. Usiadł na trawce, wydobył notes wraz z ołówkiem, którym można było zabić psa, zamyślił się i jął wywodzić dalszy ciąg rewelacyjnych wprost liryk pod tytułem „Wzdychy łąkowe":

„W astralną ciszę wnika
Fletowy jęk kulika...
Zaś tęskny poszum trzcin..."

tu się znów głęboko zamyślił, poczem ołówek-reklama wypadł mu z ręki, mądra główka przechyliła się na lewy bok, później na prawy i zaczęła naświstywać tak niesamowite melodje, że bocian, który właśnie miał interesy w tych stronach i zbliżał się swym filozoficznym krokiem, przystanął, podumał, pokręcił głową i odleciał na drugi brzeg stawu, gdzie równie dobrze mógł załatwiać swe ciemne interesy.

Pan skarbnik, zażywny mężczyzna o sumiastym wąsie, nic jeszcze nie miał na rozkładzie. Od dłuższego czasu spoglądał zgasłem okiem na zachodzące zwolna słońce, jakby chcąc poprosić je o chwilkę rozwagi i cierpliwości. Jakżeż? Pozostawało jedno jedyne jeziorko i łowy kończyły się bezapelacyjnie, jak wszystko na świecie. Było tam jeszcze w perspektywie przyjęcie we dworze pana Osypkiewicza, na które skarbnik liczył, bo apetyt, ten spokojny i zamknięty w sobie, jak ogniotrwała kasa, człowiek miał tego rodzaju, że zawsze nań liczyć można było z powodzeniem. Należy przyznać, że pan ten miał nieco dziwny system polowania. Grzeszył nadmiarem powściągliwości. Chwalebna ta cecha w urzędowaniu, w stosunku do teściowej, kasy skarbowej, pockera, napojów wyskokowych, — nie okazała się korzystną na polowaniu — wprost przeciwnie!

Gdy kaczka nadlatywała, kochany skarbnik pokazywał ją palcem sąsiadom z prawej i lewej strony, krzycząc:

— Pilnuj!

A gdy sąsiad spudłował lub przegapił, — wtedy otrzymywał odeń surową naganę: „Jak pan strzela? Tak nie można! Rozkład na tem traci!".

„I pan skarbnik mógł przecie strzelić!" — bronił się sąsiad.

„Ja? Ja — to co innego!"

Czasami dawał dymu do wysoko przelatujących ptaków, potem oglądał broń dokładnie i mówił do któregoś z sąsiadów: „Coby to było, gdyby tak spadła — co? Miałem ja w Garwolinie jedną flintę, że dla niej taka meta była głupstwem, ale ta? Muszę ją zmienić!"

Ostatnie jeziorko! Osaczone przez myśliwych należycie. Chłopcy, Neptuś i jeszcze pewien wątpliwy wyżełek bobrują hałaśliwie w trzcinach. Chwila

skondensowanej ciszy. „Prr!"—z łopotem zerwała się kaczka.

„Pilnuj! — rozległ się donośny baryton skarbnika. Myśliwi, trzeba im przyznać, dopilnowali sprawy jak się patrzy i kaczka załamała się w locie. Skarbnik błyskawicznie wywnioskował, że teraz albo nigdy: palnął dwa razy i rzucił się naprzód.

„Moja! Moja!"—wrzasnął tak okropnym głosem, że tur, gdyby żył, zdechłby na miejscu. Myśliwi cofnęli się bez słowa protestu. Wacio, który zdążył był trzykrotnie strzelić i rościł sobie pewne pretensje, zamarł z wyciągniętą prawicą. Jakiś źle odżywiany chłopczyna fornalski padł na trawę i zemdlał. Wątpliwy wyżeł wyniósł się chyłkiem z jeziorka i drapnął rowami ku stajniom.

Wtedy skarbnik się obejrzał i stwierdził, że na placu boju pozostał sam. Wszelka konkurencja została zgnębiona w zarodku. Odetchnął z głębin bohaterskich piersi i z całą rozwagą objął nadzór nad poszukiwaniem zabitej krzyżówki.

„Wicek, uważaj, co ci mówię! jeszcze na lewo, dalej... tu! jest?"

„Acha!" — ozwał się Wicek z sitowia. — „Jest!"

„Doskonale! bierz ją!"

„Oj!" — pisnął Wicek... i tu kaczka poderwała się ku górze, zapadając po chwili w przeciwległym kącie jeziorka.

„Łapaj, gapiu jeden!" — ryknął skarbnik i puścił się pędem wzdłuż brzegu, przesadzając rowy. Wszystko, co żyło: myśliwi, chłopcy i Neptuś pędziło w zawody. Przyplątały się nawet dwie połatane krowy z zadartymi ogonami.

Neptuś przybył na miejsce pierwszy. Nieco powęszył, rozejrzał się w sytuacji i zniknął w sitowiach.

Zziajany skarbnik położył palec na ustach:

„Sza! proszę o spokój!"

Wśród powszechnego napięcia ozwało się rozpaczliwe kwaknięcie, zatrzepotało coś i ucichło.

Niebawem pojawił się Neptuś z martwą już kaczką w pysku.

Skarbnik, dobry chłop, rozrzewnił się niemal do łez:

„Neptusiu! serce moje... oto węch! i z wody aportuje!"

„Bo rano dostał porcję śledzia!" — wtrącił Wacio.

„Przyjacielu! Neptusiu!"—roztkliwił się skarbnik...

„Mówcie sobie „ty"! — cieszył się Wacio.

„Panie Osypkiewicz!" — huknął nasz bohater do zbliżającego się gospodarza.

„Co za pies! Złoto, szczere złoto! Bądź pan tak dobry i każ go pan sfotografować! Ogromnie chciałbym mieć jego podobiznę! Zrób pan to dla mnie".

— Ależ z przyjemnością! format gabinetowy, przypuszczam...

„Pan się śmieje? A ja panu mówię, że nie wiesz, co masz! oto co!"

I świat był piękny w tej chwili dla zacnego pana skarbnika: oto krzyżówka z takim mozołem zdobyta dyndała sobie u pasa na trzech trokach odrazu, żeby czasem nie przyszła jej fantazja bryknąć na wolność.

Świat wogóle był piękny... Słońce ozłacało dalekie pola, układając się do snu wśród półkopków zżętego zboża. Zbłękitniała ściana lasów i rozpłynęła się w topieli mgieł. Chmura szpaków z szumem przewiała nad stawami i niewidoczna czapla trzykrotnie ogłosiła tryumf ciszy i spokojnego żerowiska.

Zaś myśliwi obsiedli stoły... Jak oni pili... jak pili! jak skarbnik spożył dwie perliczki i pół pieczeni cielęcej nietylko bez żadnego współdziałania, ale nawet wśród protestów bliźnich, jak Wacio domagał się początkowo serwatki... później zaś okazał się amatorem mleka prosto ze skopka... o tem zamilczę.

Świat jest piękny, powtarzam, a noc ma swoje prawa. To trudno!

Zamość.

EDWARD NIEDZIAŁKOWSKI.

TRESER A PIES.

Zgóry tu zaraz uprzedzić muszę, że niekażdy myśliwy posiada odpowiednie na tresera kwalifikacje, ażeby móc do rzeczywiście umiejętnego wytresowania psa przystąpić, choćby nawet jaknajlepsze pod tym względem teoretyczne wiadomości i jaknajlepsze chęci posiadał.

Osoby zatem, które psa wytresować pragną, niechaj wpierw swe własne usposobienie jaknajdokładniej przeanalizują, czy do podjęcia tego zadania wogóle mogą być zdolne, sztuka bowiem tresera polega w pierwszym rzędzie na tem, ażeby tenże przedewszystkiem umiał stać się dla swego ucznia jaknajbardziej zrozumiałym, posiłkując się jednocześnie w czasie tresury tego rodzaju środkami, ażeby z ich pomocą możliwie łatwo, a możliwie w jaknajkrótszym czasie, dopiąć pożądanego celu. W tym okresie ani zamało, ani też zadużo, lecz zawsze tylko w miarę, jak również w stosownej zawsze chwili, ucznia swego karać powinien, gdy tenże rzeczywiście na to zasłużył, przyczem jednak zbytnim gniewem unosić się w żadnym razie nigdy nie powinien!

Anielska wprost cierpliwość, krew zimna, bezwzględna sprawiedliwość w razie wynikłej potrzeby ukarania ucznia, zupełna pewność siebie, jak również pewien zasób teoretycznych wiadomości — oto są najgłówniejsze, a wprost niezbędne zalety każdego tresera. Pozatem musi on najpierw jaknajdokładniej zapoznać się z temperamentem i charakterem psa, zanim do tresury jego przystąpi.

Nie wszystkie psy jednakim temperamentem i usposobieniem się odznaczają, bywają bowiem psy bardzo niekiedy łagodne, miękkie i bojaźliwe, niekiedy zaś znowu krnąbrne, złe i bardzo uparte, a dlatego z każdym tego rodzaju osobnikiem, zupełnie odmiennie w czasie tresury postępować trzeba i należy, gdy bowiem pies miękki, a bojaźliwy wymaga zazwyczaj od nas bardzo łagodnego obchodzenia się z nim, i prawie że ostrzejszej nagany, lub kary wprost nie znosi, to znowu naodwrót, z psem krnąbrnym i upartym — łagodnem tylko postępowaniem, prawie że nic nie wskóramy, jeśli go w czasie tresury, za tego rodzaju przywary, ostro karać nie będziemy.

Zupełnie tak samo, jak temperament psa, tak też i jego istotna pojętność — brana w rachubę również być musi, gdyż i pod tym względem zachodzą zbyt wielkie wśród psów różnice.

Gdy więc absolutnie sobie nie schlebiając, przyjdziemy wreszcie do istotnego wniosku, że na wyżej wymienione warunki w zupełności zdobyć się jednak będziemy mogli, oraz po uprzedniem, a gruntownem zapoznaniu się z charakterem i usposobieniem psa, przyjdziemy również do przekonania, że dość mozolny trud nasz i zabiegi na marne nie pójdą, a naodwrót, dobre rezultaty jednak nam wydadzą, wtedy bez obawy przed oczekującem nas, dość trudnem zadaniem — przystąpmy do tresury, a w czasie wykonywania całego tego przedsięwzięcia, postanówmy jaknajsolenniej, uzbroić się w jaknajwiększą cierpli-

wość, nie odstępując ani na jotę od niżej wymienionych 10-ciu zasad, dostatecznie już wypróbowanych.

1) Pies brany do tresury nie powinien być za młody, jak również i za stary. Właściwego do tresury wieku psa ściślej określić się tutaj nie da, liczyć się bowiem trzeba przedewszystkiem z fizycznym jego rozwojem, oraz z jego faktycznemi zdolnościami. Domowem ułożeniem psa winniśmy się zająć natychmiast, gdy tylko od suki, jako małe jeszcze szczenie, odsadzony został, jego zaś tresurą — dopiero wtedy, gdy należycie fizycznie już się rozwinął i odpowiednich do tego sił nabrał.

2) Wybierajmy zawsze psy nie zanadto ciężkie, jak również nie za wątłe, ponieważ pierwsze mało zazwyczaj są zwinne i wytrzymałe, gdy natomiast drugie — za słabe.

3) Zanim do tresury dojdzie, winien pies, tak samo jak i w czasie początkowego, domowego układania, jaknajwięcej przebywać w towarzystwie przyszłego swego tresera, który tylko w ten sposób będzie miał jaknajlepszą możność do wczesnego a dokładnego zapoznania się z charakterem i usposobieniem swego przyszłego ucznia, a pozatem sam pies więcej do swego tresera się przywiąże.

4) Obchodźmy się z naszym uczniem zawsze możliwie jaknajlepiej i naprzychylniej, a więc wprost po przyjacielsku, przez co pewniej i znacznie prędzej do pożądanego celu w całej tresurze dojdziemy. Nie rzadko psy, z jaknajlepszemi nawet kwalifikacjami i zaletami, bywają z przyczyny brutalnego obchodzenia się z nimi w czasie tresury, lub wreszcie poza nią — kompletnie popsute!

5) Każdą nowo zaczętą lekcję rozpoczynajmy za pomocą takich tylko środków, które pies ze względu na swój naturalny instynkt najlepiej pojąć jest w stanie, ażeby bezwarunkowo, z samego zaraz początku, psa nie odstraszyć, oraz nie zrazić go do następnych, a stopniowo utrudnianych przez nas ćwiczeń, jak również każda pierwsza — a nowa zupełnie lekcja, trwać zawsze powinna możliwie jaknajkrócej, ażeby zarówno psa, jak tek i tresera zbytnio nie umęczyła. Gdy zaś pies wreszcie dobrze pojąć ją zdołał, wtedy dopiero czas trwania tejże przedłużać należy i dane ćwiczenie stopniowo dalej, wedle zgóry powziętego programu — utrudniać. Im częściej pies w danym dniu do tresury będzie przez nas brany, tem krócej ćwiczenia trwać zawsze winny.

6) Należy zawsze lekcję, celem zachęcenia psa, możliwie skracać, o ile dobrą swą wolę w czasie jej trwania, okazał, w przeciwnym zaś razie umyślnie ją za karę przedłużamy. Zazwyczaj pies bardzo prędko połapie się w podobnej, z naszej strony taktyce, i więcej pilności, oraz rozwagi okazywać pocznie, ażeby móc możliwie jaknajprędzej uwolnić się od tych uciążliwych i wogóle niebardzo miłych mu posiedzeń.

7) Treser winien postępować z psem w czasie tychże ćwiczeń zawsze jaknajłaskawiej i jaknajprzyjaźniej, a już zwłaszcza wtedy, gdy pies podczas lekcji odznaczy się szczególną uwagą i posłuszeństwem, natomiast zaraz surowo karać go powinien, w razie widocznie okazanego nieposłuszeństwa, lub krnąbrności.

8) Pamiętajmy również, by psa zbytnio nie pieścić, gdyż to zazwyczaj go psuje, lecz za każdym razem pochwalić go zawsze należy, gdy rozkaz nasz chętnie i dobrze wykona, w przeciwnym zaś razie za każde złe, lub niedbałe spełnienie naszego rozkazu, skarcić go natychmiast trzeba. Postąpilibyśmy jednak bardzo nieoględnie, a zupełnie bezcelowo, karząc psa po upływie pewnego już czasu od popełnienia jakiejkolwiekbądź przez niego niestosowności, gdyż pies zazwyczaj o tem już zapomniał i oczywiście nie będzie mógł zdać sobie sprawy, za co właściwie ukarany został. Wogóle stopień wymierzonej kary winien być zawsze ściśle zastosowany do stopnia danego przewinienia, przyczem powinien ją treser z jaknajzimniejszą krwią i z całym spokojem sprawiedliwie wymierzyć, a w razie powtórzenia się tegoż przewinienia, odpowiednio już sroższą karę względem winowajcy zastosować. Sprawiedliwe zaostrzenie kary, lub też jej zmniejszenie, wywiera zazwyczaj wielki wpływ na wcześniejsze wydoskonalenie się naszego ucznia.

9) Nie przystępujmy zaraz po nakarmieniu psa do żadnych z nim ćwiczeń, gdyż syty pies jest zwykle zbyt ociężały i leniwy, a wszelkie wtedy ćwiczenia, oraz ich repetycje, idą mu nie tak składnie i łatwo, jak przy nieobładowanym żołądku.

10) W czasie tresury i poza nią używajmy stale i to bez najmniejszych zmian, możliwie silnie zaakcentowanych, krótkobrzmiących rozkazów, w ten bowiem tylko sposób możemy mieć zawsze pełną możność objawiania psu naszej woli jaknajzrozumialej i jaknajdobitniej, a pozatem, trzymając się podobnej taktyki, znacznie ułatwimy, tak sobie, jak też i psu, całą tresurę. Zbyteczny balast komendy słownej, stosowany przez wielu treserów starszej daty, tak jednej, jak też i drugiej stronie tresurę niepotrzebnie by tylko utrudniał, a więc starajmy się tego unikać i słownik nasz, w czasie tresury, o ile możności skróćmy i uprośćmy.

Turek, z. Kaliskiej.

EMIL KARNEY.

O PRZYGOTOWANIU WYŻŁA DO KONKURSU

Konkurs wyżłów dowodnych jest to egzamin dojrzałości uczniów, którzy winni posiadać tresurę domową, która winna trwać 4, 6 lub 8 tygodni, zależnie nietylko od zdolności ucznia, lecz też od metody szkolenia, t. j. umiejętności wykorzystania pożytecznych momentów, w czasie których młody wyżeł treserowi daje możność obserwowania siebie i wyciągnięcia odpowiednich wniosków.

Około dwuch tygodni powtórzenie tejże tresury domowej w ogrodzonem miejscu (np. ogród lub okólnik).

Przejście do praktyki. Praktyczną pracę dzieli się na cztery działy, t. j. 1) Praca leśna, 2) Ciętość, 3) Praca wodna, 4) Praca polna.

Praca leśna dzieli się na następujących siedm zadań:

1) Za farbą na otoku.
   Za farbą luzem milczkiem lub głośno.
2) Aportowanie zgubionego drapieżnika (kot lub lis).
   Aportowanie zgubionej zwierzyny użytecznej (królik albo zając).
3) Aportowanie przez przeszkody, z królikiem, zającem, kotem, lisem.
4) Wyparowanie.
5) Zachowanie się na stanowisko.
6) Warowanie na strzał.
7) Zachowanie się na otoku.

Za farbą na otoku: Do pracy tej należy specjalny przyrząd, t. zw. koło tropowe, do robienia sztucznych obwłok. Sztuczną obwłokę ciągnie się około 500 kroków, robiąc jeden do dwóch ostrych skrętów; na końcu obwłoki kładzie się ubitą zwierzynę (rogacz lub jeleń). Do obwłoki potrzeba około 1 litra farby rogacza lub jelenia, którą wlewa się do specjalnego

rezerwuaru, otwierając otwór do farbowania, a obok rezerwuaru wkłada się płuco i wątrobę. Zwierzyna winna być świeża, wyczyszczona, miejsce wypatroszenia oraz wstrzał i wystrzał winny być zaszyte, by psa nie pobudzać do nacinania zwierzyny. (Przygotowania te należy czynić w nieobecności ucznia swego). Następnie zakłada się psu linkę t. zw. tropową, 3 metr. i podprowadza go się do tropu. Pies winien w tejże chwili trop uchwycić i, trzymając nos przy ziemi na tropie, menera swego wolno doprowadzić do celu.

W celu zbadania psa, czy nie nacina zwierzyny, robi się drugą, krótką i prostą obwłokę około 20 do 30 kroków długą, kładzie się ponownie zwierzynę na jej końcu, puszcza się psa luzem, by doszedł za farbą do zwierzyny, poczem czeka się chwilę, by zobaczyć, jak się pies przy ubitej zwierzynie zachowa. Wolno psu zwierzynę obwąchać i do swego pana wrócić, lecz nie wolno mu zwierzyny naciąć, gdyż naraża się na dyskwalifikację i wykluczenie z konkursu.

ZA FARBĄ LUZEM I MILCZKIEM.

Za farbą luzem można psa wtenczas puszczać, gdy pies zupełnie pewnie i bez błędu wypracował już kilka sztucznych obwłok oraz wypracował trop naturalny, przy którym zwierzynę jeszcze żyjącą, dobrze osadził, przytrzymał, ewentualnie udusił i do swego pana powrócił. Wtenczas bada się pysk psa, czy nie ma śladów farby lub sierści. Pies winien w tym wypadku po dojściu do ubitej zwierzyny, powrócić do swego pana i powtórnie doprowadzić pana swego na tym samym tropie luzem, zapewniając go radosnem skakaniem lub w inny sposób, że zwierzynę odnalazł.

ZA FARBĄ LUZEM GŁOŚNO.

Tak samo, jak poprzednio podałem, puszcza się psa na trop, o ile pies jest już pewien siebie. Pies winien do ubitej zwierzyny dojść, przy niej pozostać i tak długo oszczekiwać, aż pan jego nie dojdzie i go pochwali.

APORTOWANIE ZGUBIONEGO DRAPIEŻNIKA.

Aby przygotować to ćwiczenie bierze się zabitego kota lub lisa i robi się obwłokę, wlokąc kota lub lisa około 200 kroków w las, gdzie go się zostawia. Psa puszcza się w tym wypadku zaraz po zrobieniu obwłoki, gdyż trop taki jest prawie bez farby. Puszczony na trop pies winien luzem do celu dojść i drapieżnika przyaportować.

APORTOWANIE ZGUBIONEJ, UŻYTECZNEJ ZWIERZYNY.

Ćwiczenie to wykonywa się w ten sam sposób, jak z drapieżnikiem, lecz używa się na obwłokę zająca lub królika.

APORTOWANIE PRZEZ PRZESZKODY.

Do ćwiczenia tego wykorzystuje się w praktyce najpierw mniejsze, później większe przeszkody, jak rowy i płoty, każąc brać je aportującemu psu.

WYPAROWANIE.

Do ćwiczenia tego używa się niskich kultur i zagajników, w których znajdują się króliki i zające. Chcąc ucznia zachęcic do wyparowania, naprowadza go się na świeży, dobrze wydeptany ślad króliczy lub zajęczy, puszcza go się luzem, by za tymże śladem w szybkiem tempie zwierzynę wypłoszył i w ten sposób na strzał napędził.

ZACHOWANIE SIĘ NA STANOWISKU.

Psu należy przyczepić krótki otok, pobiec z nim do przeznaczonego stanowiska przy dukcie, lub drodze i kazać mu warować na otoku lub luzem przy nodze. Pies powinien warować tak długo, aż mener nie pozwoli mu wstać. W czasie pędzenia nie wolno psu skowyczeć, ani reagować na strzał swego pana lub na przeskakującą przez dukt lub drogę, zwierzynę.

WAROWANIE NA STRZAŁ.

W lesie lub pod lasem pokłada się psa luzem, kładąc przed niego plecak; odchodzi się około 20 — 30 kroków w las w miejsce takie, gdzie pies myśliwego nie widzi, i oddaje się najpierw jeden, a po krótkiej przerwie drugi strzał. Pies musi spokojnie warować i odczekać, aż pan jego wróci i odwoła.

ZACHOWANIE SIĘ NA OTOKU.

Mener zakłada psu 2 metr. linkę, każe mu iść z lewej strony „za nogą", wchodzi z psem do lasu, by chodzić między drzewami i krzakami, a pies w tym wypadku winien się ściśle trzymać „za nogą", iść w ślad za panem swym, który winien robić ostre skręty w lewo i prawo.

CIĘTOŚĆ.

Ciętość dzieli się na dwa zadania, t. j. osadzanie i duszenie. Specjalną zaletą psa jest duszenie drapieżnika, to jest kota - włóczęgi, którego zalicza się do największych szkodników w polu i lesie, oraz lisa, o ile ten się w rewirze za bardzo rozmnożył.

OSADZANIE.

Osadzanie jest zadaniem, które każdemu psu wpoić można za pomocą szczucia kotów domowych. Pies winien kota dogonić, prześcignąć, zawrócić i osadzić. Wtedy musi pies bardzo energicznie szczekać i próbować raz po raz kota gryźć i trzymać kota tak długo, aż mener przyjdzie i kota zastrzeli. Wówczas powinien pies kota, czy lisa przyaportować.

DUSZENIE.

Jak już wyżej nadmieniłem, duszenie jest specjalną, osobistą zaletą psa ostrego na drapieżnika. Wpoić nie można każdemu psu tej zalety, zdaniem mojem, tak, jak aportowanie etc. O ile uczeń okazuje ciętość na drapieżniki, wtenczas robi się pierwszą próbę z kotem i z uczniem, a ma się w rezerwie psa ciętego, który jest pewien siebie. Jeżeli uczeń długo się bawi z kotem lub kot zaczyna go gonić, wtenczas puszcza się psa pewnego i wyćwiczonego, który winien kota zadławić, a temsamem młodemu uczniowi pokazać, jak ma postępować.

PRACA WODNA.

Do pracy tej nadają się nie wszystkie psy, lecz umiejętnem prowadzeniem psa w tej dziedzinie można i bojaźliwego ucznia bardzo wiele nauczyć. Najważniejszem jest, żeby bojącego się wody ucznia za żadną cenę nie wrzucać do wody, oraz nie wrzucać psu, o ile aportuje w celach ćwiczebnych, twardych przedmiotów, jak cegieł, kamieni, lasek i t. p., gdyż pies nauczy się twardo aportować i z tego powodu w praktyce lotną zwierzynę tak gnieść, aż jej jelita wychodzą i wreszcie zaczyna mamłać, a w końcu pożerać i połykać.

BOBROWANIE ZA KACZKAMI.

Ćwiczenie to należy odbywać na zalanych, pokrytych zaroślami łąkach, w których znajdują się wodne kurki, bekasy i kaczki. Należy samemu do wody

wejść i z psem wspólnie pracować, by móc pracę jego na 20 — 30 kroków obserwować i psem kierować, każąc mu w lewo lub w prawo zachodzić. Po kilku takich ćwiczeniach okaże się, że przy mniejszych zaroślach jest zbyteczne, by myśliwy wchodził do wody, i uczeń sam sumiennie pracę swą wykona, jak go poprzednio nauczono.

APORTOWANIE Z GŁĘBOKIEJ WODY.

Rzuca się psu kaczkę lub innego rodzaju ptaka wodnego na głęboką wodę i daje się rozkaz przyaportowania zwierzyny. Pies winien popłynąć do ptaka, pochwycić go i do brzegu przypłynąć, w szybkiem tempie do swego pana dojść, usiąść, a na rozkaz „daj" oddać. Specjalnie zwracam uwagę na to, że wychodzącemu psu z wody nie wolno: 1) odłożyć ptaka na brzeg, by z siebie strząsnąć wodę, 2) po wyniesieniu ptaka z wody, rzucić go panu pod nogi. Aportowanie z pod wody nie należy do konkursowego zadania, lecz przyda się w przyszłości w praktyce przy poszukiwaniu zbarczonych kaczek. Chcąc nauczyć psa swego aportowania z pod wody, należy zabrać obciążony przyrząd do aportowania nad rzeczkę, która ma przezroczystą wodę, i, ile możności, jasny grunt, tak, że przez tę wodę każdy przedmiot gołem okiem zobaczyć można. Wtenczas doprowadza się ucznia na 10 kroków przed rzeczkę i każe mu się siedzieć, dochodzi się z przyrządem do aportowania do rzeki, kładąc go tuż przy wodzie, później daje się rozkaz „aport"; pies winien przyrząd ten panu swemu przynieść i przepisowo oddać. Następnie powtarza się to samo ćwiczenie, lecz z tą różnicą, że przy drugim wypadku kładzie się przyrząd do aportowania, zanurzając go do połowy w wodzie tak, że druga część jest dla psa widoczna. Wtenczas daje się rozkaz „aport" i pies znów przynosi, jak poprzednio. W trzecim wypadku zanurza się przyrząd do aportowania w wodzie prawie cały, tak, że pies musi już do wody wejść, a chcąc wydobyć przyrząd, musi pysk w wodę wsadzić. W końcu po udatnych, pierwszych trzech ćwiczeniach zanurza się psu podnoskę do aportowania tak głęboko, że musi cały łeb, ewentualnie nawet korpus zanurzyć, chcąc z pod wody aportować. Specjalnie zwracam panom treserom uwagę na to, że wszystkie ćwiczenia przygotowawcze do pracy wodnej, należy wykonywać w dnie ciepłe i upalne, wykorzystując przytem w czasie upalnych dni, chęć ochładzania się psa; zachęca się w ten sposób ucznia do pracy. Gdy się powraca o zmroku z rewiru do domu, natenczas należy ucznia dobrze słomą lub szmatami wytrzeć, zanim go się uwiąże przy budzie lub wpuści do domu na legowisko, lub wreszcie zabierze na pojazd w celu odjazdu z rewiru. Wycieranie psa po pracy wodnej powinno się z samego poczucia ludzkości po każdej pracy wodnej dokonać. Należy też nie krępować wtedy jego swobody ruchu, aby w ten sposób rozgrzał się i obeschnął. Ja nietylko w pierwszym roku ćwiczeń, lecz stale wycieram swego psa, by mi w krótkim czasie nie zapadł na reumatyzm. Reumatyzm, jak wiadomo, jest u psa prawie niewyleczalny i doprowadza do tego, że nie mogąc patrzeć na męczarnie biednego psa, każe go się zastrzelić, tracąc w wielu wypadkach bardzo wiernego i dobrego przyjaciela.

PRACA POLNA.

W pracy tej egzaminuje się ucznia pod 9 względami.

1. Wiatr.

Wiatr powinien pies mieć jaknajlepszy, gdyż pies ze złym wiatrem gorzej się układa od psa z bardzo dobrym wiatrem, a w czasie konkursu pies z dobrym wiatrem na bardzo daleką metę wystawia zwierzynę, za co osięgnie lepszą cenzurę.

2. Sposób szukania.

Sposób szukania jest zaletą, którą się psom wpaja. Pies z dobrym sposobem szukania winien pracować aż do odnalezienia zwierzyny górnym wiatrem, krzyżując pole, w dalekiej odległości przed linją kilku myśliwych.

3. Wystawianie.

Pies powinien twardo wystawiać i tak długo stać murem, aż myśliwy do niego się zbliży. Chcąc osiągnąć twarde wystawianie, powinien mener za każdym razem, skoro pies zwierzynę wystawia, zachodzić go z przodu, t. zn., że przez ten czas pies stale musi patrzeć na menera. Zwierzyna znajduje się w tym wypadku pomiędzy psem a menerem, i lepiej dotrzymuje. Po kilku takich ćwiczeniach można psa twardo wystawiającego z przeciwnej strony menera, podniesieniem ręki przed leżącą zwierzyną położyć lub też dać rozkaz „siad". Ja osobiście radzę tego rodzaju ćwiczenia powtarzać jaknajczęściej i czas wystawiania przeciągnąć jaknajdłużej.

4. Dociąganie.

Pies powinien jaknajwolniej dociągać za wyciekającą zwierzyną. Inteligentny pies, gdy spostrzeże, że kuropatwy z kartofli za ostro wyciekają, rzuci kuropatwy, zatoczy koło i zajdzie je od przodu, wystawi je po raz wtóry na myśliwego, powodując tem pojedyńcze zrywanie się kuropatw.

5. Apel.

Apel powinien pies stający do konkursu mieć jaknajlepszy, t. zn. na każdą odległość reagować na gwizdek oraz na znak ręką. Ja osobiście daję swoim psom rozkazy na bliską odległość po cichu i półgłosem, o ile nie chodzi o szczucie kota. Tak samo gwiżdżę się na psa z bliskiej odległości jaknajciszej, ponieważ gwizd na daleką odległość uchwyci ucho psa również bardzo cicho.

6. Respektowanie zajęcy.

Pies stający do konkursu, winien obowiązkowo zająca pomykającego respektować i pobiec za nim tylko na rozkaz.

7. Wytrzymanie na strzał.

Tak samo, jak w lesie, nie wolno się psu na żaden strzał gorączkować, lecz winien dopiero na rozkaz pójść za postrzałkiem lub ubitą zwierzyną, by ją przyaportować.

8. Zachowanie się przed zrywającą się zwierzyną.

Gdy pies zwierzynę wystawia, a zwierzyna się zerwie, natenczas powinien pies stać lub przywarować; nie wolno mu zrywającej się zwierzyny gonić.

9. Aportowanie zguby.

Ćwiczenie to przyspasabia młodego psa do odszukania zbarczonych kuropatw lub bażantów. Ubitego bażanta lub kuropatwę po przywiązaniu 2 metr. sznurka do nóżki, kładzie się na ziemię (ściernisko lub łąkę) uskubnie się kilka piór, jako dowód rozpoczętej obwłoczki, i wlecze się ptaka, idąc wolnym krokiem, jak przy wszystkich innych obwłoczkach, z wiatrem, około 50 kroków, robiąc w tem 1 lub 2 ostre zakręty. Następnie zaraz po ukończonej obwłoce puszcza się psa na trop. Pies powinien w szybkiem tempie dojść bez błędu do celu, trzymając nos na tropie.

W końcu nadmieniam, że wszystkie te wiadomości, które dzisiaj w naszym „Łowcu Polskim" podaję, zawdzięczam nietylko swej własnej praktyce w tej dziedzinie, ale w bardzo wielkiej mierze pracy X. Ludwika Niedbała, w której bardzo obszernie i zrozumiale są opisane wszystkie lekcje oraz przyrządy do tresury psa dowodnego. Każdy myśliwy, zadając sobie pracę, według wskazówek X. Niedbała, może psa ułożyć, a gdy nabędzie już ułożonego psa, w myśl wskazówek dalej prowadzić powinien, gdyż przeważnie psy ułożone, które przeszły w inne ręce, stają się bardzo często nieposłusznymi, wobec czego wielka część poprzedniej pracy może iść na marne.

MARJAN SIUDZIK.



WOLNA TRYBUNA.

WALKA Z' WŁÓCZĘGĄ, CZY PRZYJACIELEM?

W Nr. 7 „Łowca Polskiego", ogłoszone zostało rozporządzenie władzy wojewódzkiej, dotyczące uwięzienia psów na całem terytorjum województwa lubelskiego.

Pg. nowego rozporządzenia obowiązującego od 1-go lutego r. b.: 1) wszystkie psy mają być trzymane na uwięzi, na przykutych do obroży, grubych łańcuchach; 2) psy mają być opatrzone tablicami z nazwą miejscowości i nazwiskiem właściciela; 3) na psy włóczęgi mają być urządzane obławy, a złapane po upływie 48 godz. zgładzone.

Szczęśliwe psy woj. lubelskiego do tej pory nic o tem nie wiedzą, i te, które włóczyły się przed lutym, włóczą się i teraz, będąc postrachem i tępicielem biednej, zmęczonej srogą zimą zwierzyny. Zwykły to los surowych i groźnych, a nieżyciowych przepisów.

Doprawdy dziwnie brzmi to całe rozporządzenie. Łańcuch ma być przykuty do obroży. Po co? Prawdopodobnie, ażeby psa nie można było spuścić. A obroża? Rozporządzenie nie przewiduje zakuwania tejże na głucho. Obroża zwykle posiada sprzączkę, którą można dowolnie zapinać lub odpinać. Pocóż więc groza w sytuacji, która groźną bynajmniej nie będzie, gdyż ją złagodzi dobrotliwa sprzączka.

Pies rzekomo przykuty do łańcucha ma stać z tablicą i wypisaną na niej miejscowością i nazwiskiem właściciela. Poco? Jeżeli stoi na łańcuchu, stoi zapewne w zagrodzie swego właściciela, lub, na ten czas prawnego swego opiekuna, a już napewno w tej wsi, w której się zagroda znajduje. Jeżeli zerwie się z uwięzi, to już raczej pęknie mu nieprzepisowa obroża, aniżeli gruby, nakazny łańcuch. A pies pozbawiony obroży — tablicy z sobą nie weźmie.

Na psy włóczące się mają być urządzane obławy. W jaki sposób? Woj. lubelskie to nietylko ulice miejskie, w których zręczny czyściciel na małem terytorjum zarzuca pętle i chwyta nieszczęsną psinę. Ale wieś, czyli pola i łąki, rowy, rzeki i lasy!

Ci, którzy w ochronie zwierzyny walczą z psem-włóczęgą, psem-kłusownikiem, wiedzą, jak trudno podejść nawet na strzał takiego mądralę. Jak więc go chwytać? Do takiej obławy na jedną psinę trzeba chyba dziesiątki ludzi zwołać. A czy pies zechce czekać?

Ustawa łowiecka pg. art. 37 pozwala uprawnionemu do polowania zabijać psy niemyśliwskie włóczące się w obwodzie łowieckim w odległ. 300 mtr. od zabudowań lub 30 mtr. od drogi publicznej.

Rozporządzenie, o którem mowa, nakazuje łapać takie psy.

Nie jest to więc zaostrzenie walki z psem-włóczęgą, ale raczej utrudnienie jej.

Natomiast jest to wypowiedzenie walki całemu psiemu rodowi.

Jest to gnębienie psów-stróżów, Burków, przyjaciół naszych wiernych, przywiązanych, czujnych a stróżliwych, trzymanych w porządnych zagrodach w dzień na uwięzi, na noc spuszczanych w podwórzach, jako stróżów — ku psiej radości, a ludzkiej wygodzie.

Dlaczegóż pokutować mają porządni gospodarze, pozbawieni w ten sposób stróża, za winy niedbałych sąsiadów. Dlaczegóż mamy gnębić tak pożądanego w życiu wiejskiem, wiernego, poczciwego Burka?

A cóż na to powie brać myśliwska, bo w rozporządzeniu niema innych wyjątków, jak tylko dla psa policyjnego. Jak więc Asy, Azy, Hektory, Normy mają towarzyszyć swym panom na łowy? Czy też na łańcuchach przykutych do obroży?

Walka z psem włóczęgą, walka z psem wściekłym winna być bezwzględną. Pies włóczęga to straszny wróg ptactwa i zwierzyny, tej wspaniałej ozdoby i bogactwa naszej przyrody. Pies wściekły to plaga, to nieobliczalne w swych skutkach nieszczęście!

Nowe rozporządzenie walkę tę utrudnia, czyni ją wprost niemożliwą!

Wszak dotychczas i policja miała prawo strzału do psa-włóczęgi — dziś także ma go łapać tylko!

Czyż zamiast wydawać nowe rozporządzenie, nie lepiej było uzupełnić już istniejące, ograniczając swobodę psów w gospodarstwach nieogrodzonych, rozszerzając prawo strzału na wszystkich uprawnionych dotychczas do walki z psem-włóczęgą.

Podlasie. B. S.

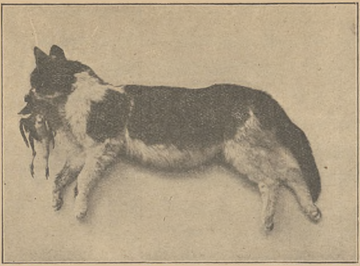
Jest tu jakieś nieporozumienie. Chodzi o krytykę zarządzeń p. Wojewody lubelskiego mających, jak należy sądzić, na celu walkę z wścieklizną, niepodanych dostatecznie ściśle w Nr. 7 „Ł. P.", gdyż urzędowych odpisów takich zarządzeń Redakcja „Ł. P." nie otrzymuje. — (Przyp. Red.).

Z ŻYCIA ZWIERZYNY.

17 lipca r. b. zrana gajowy rewiru Ostrowy spostrzegł, jak kura bażańcia, prowadząca młode, broniła ich przed napadającym kotem zdziczałym. Kot ujrzawszy nadchodzącego gajowego, złapał młodego bażanta i począł z nim uciekać. Po strzale gajowego kot padł, nie wypuszczając z pyska zdobyczy, jak to widać na fotografji na str. 600.

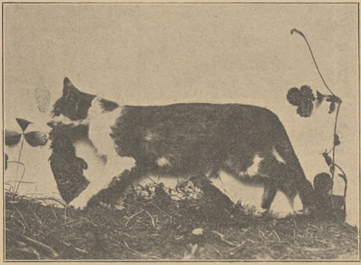
W końcu lipca strzelec z folwarku Błonie spotkał kota, wracającego z pola z młodym zajączkiem w pysku. Po strzale kot, jak to widać na fotografji, również nie wypuścił zajączka z pyska i tak pozostał.

Poniższe obie fotografje najlepiej dowodzą, jak wielkie spustoszenie wśród zwierzostanu czynią koty.



Podczas objazdu jednego z rewirów leśnych spostrzegłem w zagajniku starą kozę-sarnę z trojgiem młodych, z których dwoje ssało z całym apetytem matkę, a trzecie najmniejsze, z wielką niecierpliwością oczekiwało swojej kolei. Zwracała uwagę nierówność wzrostu młodych, najwidoczniej spowodowana upośledzeniem w karmieniu, gdyż sarna może tylko karmić dwoje młodych.

W jednej z bażantarni Krośniewickich 2 kury domowe wychowywały przeszło trzydzieści młodych kuropatw. Budki z kuropatwami stały po za płotem



bażantarni w zagajniku. Pewnego dnia przyszła para dzikich kuropatw, niemająca młodych, i stoczyła z kurami walkę, w wyniku której kury domowe zostały odpędzone od młodych kuropatw, poczem stare kuropatwy zabrały mniej więcej połowę z sobą do zagajnika.

W kilka dni później przyszła druga para starych kuropatw i po walce z kurami zabrała resztę młodych. Biedne kury domowe pozostały same! Doprawdy podziwu godny jest instynkt u ptaków!

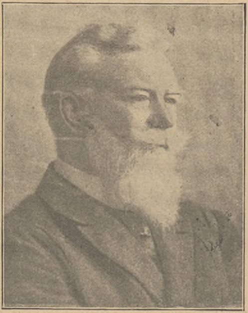
P. L.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

Ś. p. Józef Bartmański zmarł w Tadaniu w Małopolsce w 60-ym roku życia. Zmarły był członkiem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, delegatem powiatowym, wybitnym hodowcą i miłośnikiem zwierzyny. Knieja w Tadaniu przed wojną znana była w całej Małopolsce z obfitości i różnorodności zwierzyny.

Ferdynand v. Raesfeld.

W Niemczech umarł przodujący pisarz myśliwski, Ferdynand v. Raesfeld, zapadłszy na grypę w Kolonji, dokąd pojechał w celu wygłoszenia odczytu myśliwskiego. Żył lat 73. Głównemi jego dziełami myśliwskiemi w języku niemieckim są: „Jeleń", „Sarna", „Hodowla w łowisku", „Myślistwo niemieckie".



W dziełach tych, traktowanych ściśle naukowo, uwzględniane są w stosunku do zwierzyny: anatomja zwykła i porównawcza oraz patologiczna, fizjologja i histologja, a pozatem wszelkie strony praktyczne łowiectwa. Był też wielkim znawcą tropów.

Piórem władał znakomicie, mając swoisty styl i sposób pisania pełen fantazji twórczej. Opisywał pięknie dzieje swych przeżyć, począwszy od dzieciństwa. Opisy te były pełne humoru.

Niemiecka prasa łowiecka nawołuje swych czytelników do składania ofiar w celu utworzenia specjalnego funduszu imienia Raesfelda.

O.

Z Centr. Zw. Pol. Stow. Łow.

PROTOKUŁ

posiedzenia Wydziału Wykonawczego w dniu 22 lipca 1929 roku.

Obecni na posiedzeniu: pp. Wacław Szperling — przewodniczący, Walenty Garczyński, Bohdan Gędziorowski, Kazimierz Tołłoczko, Witold Kiltynowicz, Władysław Słonczyński, Czesław Lisowski, Kazimierz Kamieński i Jerzy Bokiewicz.

Wydział Wykonawczy zatwierdził protokuł posiedzenia swego z dnia 9 lipca r. b.

Na wniosek Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego postanowiono mianować delegatów powiatowych dodatkowo w powiatach Drohobycz, Rzeszów i Skole, oraz nominację ogłosić jednorazowo w „Łowcu Polskim".

O wystosowanie odpowiedzi na list Międzyministerjalnej Komisji dla zbadania zagadnień turystyki postanowiono prosić p. prez. Lilpopa.

W związku z listem p. prez. hr. Bielskiego postanowiono odłożyć termin posiedzenia Zarządu, projek-

towany na dzień 15 sierpnia, do października, i zapytać, czy termin ten p. hr. Bielskiemu odpowiada.

Pozatem załatwiono szereg pomniejszych spraw bieżących.

DELEGACI POWIATOWI.

W dalszym ciągu zgłoszono następujące kandydatury na delegatów powiatowych:

Antoni Kempiński, adwokat, Wołomin, Warszawska 15, na pow. Radzymin,

Aleksander Mocz, Sprawa, p. Szczekociny na pow. Włoszczowa,

Dr. Zygmunt Czarnocki, Słupca, na pow. Słupca,

Edmund Skarzyński, Rybienko, p. Wyszków, na pow. Pułtusk,

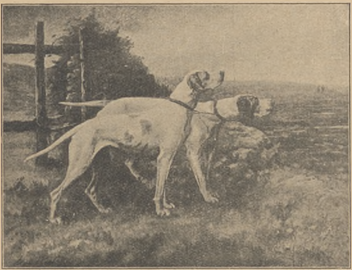
Mieczysław Woycicki, pprok. S. Ap., Warszawa, Wspólna 40, na m. st. Warszawa,

Kazimierz Szulisławski, nadl. Swit., p. Tuchola, na pow. Tuchola.

Lista ogłoszona pierwszy raz.

Zrzekli się mandatów pp. płk. Ignacy Słoński w pow. Radzymin, Kazimierz Krzakowski w pow. Skole.

Zmarli: delegat na pow. Rzeszów, ś. p. Piotr Łastowiecki, i delegat na pow. Kamionka Strumiłowa, ś. p. Józef Bartmański.



JESIENNE PRÓBY POLOWE WYŻŁÓW.

Towarzystwo Hodowli Psów Myśliwskich zwyczajem dorocznym urządza próby polowe wyżłów wszelkich ras, zapisanych lub mających prawo być zapisanemi do ksiąg rodowych, **w dniu 15, ewentualnie i 16 września r. b.** na polach dóbr Wilanów. Próby będą się odbywać według regulaminu Towarzystwa (ogłoszonego w Nr. Nr. 16 i 17 „Łowca Polskiego" z 1928 r.).

Nagrody będą udzielane w postaci dyplomów Towarzystwa I, II i III stopnia.

Do jury zostali zaproszeni pp. Stolarow, Bielawski, Obniski, Morzkowski i Prichodko.

Zgłoszenia należy kierować do Sekretarjatu Centr. Związku Polskich Stow. Łowieckich, (Warszawa, Nowy Świat 35, lokal Polskiego Tow. Łowieckiego). Tam również, w godz. między 5 i 7-ą wieczorem, można otrzymywać wszelkie informacje i blankiety. Zgłoszenia przyjmowane będą do ostatniej chwili, również na miejscu, w dniu prób, przed ich rozpoczęciem.

Wyjazd z Warszawy w dniu 15 września pociągami kolejki Wilanowskiej lub samochodami.

Początek prob punktualnie o godz. 8 rano.

CZASY OCHRONNE.

Dla wygody pp. myśliwych podajemy spis zmian czasów ochronnych za r. b. w poszczególnych miejscowościach Państwa, uwzględniając wszelkie rozporządzenia odpowiednie ogłoszone w „Łowcu Polskim" od stycznia r. b.

Województwo	Kozły	Kuropatwy	Zające
Białostockie (2)*	——	——	do 15 paźdz.
Kieleckie (15)	——	——	do 31 paźdz.
Lubelskie (9)	——	——	do 20 stycz. 1930 r.
Lwowskie (19 i 34)	do 31 stycz. 1930 r.	do końca r. b. i dalej pg. ustawy	do 15 listop.
Poleskie (4)	——	do 15 września	do 31 paźdz.
Pomorskie (28)	——	do 14 września i od 16 października	do 9 grudnia i od 1 stycz. 1930 r.
Poznańskie (23 i 31)	od 1 paźdź. i dalej pg. ustawy	od 1 paźdz.	do 30 listop i od 1 stycz. 1930 r.
Stanisławowskie (21)	——	do 30 listop. i dalej pg. ustawy	do 15 listop.
Tarnopolskie (19)	——	——	do 1 grudnia
Wileńskie (30)	——	——	do 15 listop.
Wołyńskie	——	do końca r.	do 15 grudnia

*) Cyfry w nawiasach obok nazwy województwa oznaczają numer „Łowca Polskiego" z roku bieżącego, zawierający odpowiednie rozporządzenie wojewody.

Co do pozostałych województw nie otrzymaliśmy dla ogłoszenia w „Łowcu Polskim" odpowiednich zarządzeń tego rodzaju.

Z wydrukowanych zaś zarządzeń pominęliśmy te, które już są nieaktualne, jak naprz. zarządzenia dotyczące kaczek.

Dla innych gatunków zwierzyny ogłosiły zarządzenia o czasach ochronnych województwa:

Lwowskie (34): Jelenie-byki do 30 października.

Poleskie (4): niedźwiedzie i rysie do 15 grudnia; lisy, kuny i norki do 15 listopada.

Pomorskie (28): daniele-rogacze do 14 października; bażanty-koguty do 30 września.

Stanisławowskie (34): Jelenie do 31 października.

W gminie Pasiecznej powiatu Nadworna, wszelkie polowania są zabronione do dn. 1 stycznia 1931 r. (21).

Wileńskie (30): Bielaki — do 15 listopada i od 1 lutego 1930 r.

W pozostałych miejscowościach obowiązują zasadnicze przepisy ustawy łowieckiej, podług której:

D. 1 września następuje otwarcie polowań na: jelenie-byki, daniele-rogacze, borsuki, bażanty-koguty, kuropatwy i przepiórki.

Od dn. 15 września zaś zabronione jest polowanie na cietrzewie-kury w województwach: wileńskiem, nowogródzkiem, białostockiem, poleskiem i wołyńskiem.

W ostatniej chwili otrzymaliśmy następujące, ogłoszone drukiem:

OGRANICZENIE CZASU POLOWAŃ W WOJEWÓDZTWIE WARSZAWSKIEM.

Na podstawie rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z 3 grudnia 1927 r. i rozporządzenia ministra rolnictwa z 17 marca 1928 r. p. wojewoda warszawski rozszerzył czas ochrony pewnych gatunków

zwierzyny na podległem sobie terytorjum w sposób następujący:

zabrania się polować na zające-szaraki do 15 listopada r. b. włącznie i od 15 stycznia 1930 r. do 15 listopada t. r.,

na kuropatwy do 5 września r. b. i od 20 listopada r. b. do 5 września 1930 r.,

na sarny-kozły od 1 lutego 1930 r. do 15 maja tegoż roku;

na dzikie kaczory od 1 czerwca 1930 r. do 20 lipca t. r.;

na dzikie kaczki (samice i młode) oraz na inne ptactwo wodne i błotne od 1 marca 1930 r. do 20 lipca 1930 r.

Winny przekroczenia tych terminów karany będzie grzywną do 500 złotych i aresztem do 6 tygodni.

Wiadomości bieżące.

TESTAMENT Ś. P. ROŻYŃSKIEGO.

Testamentem ś. p. Feliksa Rożyńskiego można nazwać zakończenie Jego obszernej pracy, drukowanej w szeregu zeszytów „Przeglądu Leśniczego". Były to, według określenia ś. p. Autora: „ostatnie uwagi w odpowiedzi na artykuły p. Szczerbińskiego".

W zakończeniu tem ś. p. Rożyński podkreślił wydrukowane tłustym drukiem słowa:

„Propagandę ochrony drapieżników należałoby szybko zmodyfikować!".

Dalej zaznacza:

„Pewną lukę zawiera nowa ustawa łowiecka: nie zostały w niej zabezpieczone całoroczną, stałą ochroną ptaki pożyteczne, jak sokolik, pustułka i pustułeczka (Cerchneis tinnunculus alaudarius i T. cenchris) oraz niektóre sowy, jak puszczyk (Syrnium aluco), sowa płomykowata (Strix flammea), sowa uszata (Strix otus), sóweczka (Glaucidium passerinum), sówka (Athene noctua) *).

*) Ptaki te w prawie łowieckiem zostały pominięte świadomie, ponieważ ich ochrona należy do ustawy o ochronie ptaków. Należy zaznaczyć, że obowiązujące przepisy z tej dziedziny przez prawo łowieckie nie zostały uchylone. — (Przyp. Red.).

NOWE NABYTKI POZNAŃSKEGO OGRODU ZOOLOGICZNEGO.

Nie zawsze biorą sobie podróżnicy-polacy za miły obowiązek, wyjeżdżając w obce regjony zwierzęce, przewieźć kilka pamiątek dla rodzinnego swego miasta, dla mozeum lub ogrodu zoologicznego. Nadzwyczajną niespodziankę sprawił tak ogrodowi zoologicznemu, jak i muzeum przyrodniczemu w Poznaniu p. Arkady Fiedler z Poznania, przywożąc z południowych puszcz brazylijskich dość znaczny zbiór tamtejszej fauny. Muzeum to otrzymało parę tysięcy owadów, przeszło tysiąc skór ptaków i około setki ssaków, gadów i płazów; ogród zoologiczny: 2 ostronosy, pancernika, dwie małpki, kilka papug oraz orła kara-kara. Wszystkie dotarły żywe i zdrowe, a co więcej, zupełnie oswojone. Niedźwiadki chowają się chwilowo w muzeum, gdzie cieszą się olbrzymią sympatją u zwiedzających, same zaś wiedząc o tem, roszczą sobie pretensje do codziennych przechadzek na smyczach, do codziennej kąpieli, no i innych wielu przyjemności. Ciekawym objawem jest ich znajomość o użyteczności mydła. Skoro tylko zwiedziły po raz pierwszy biuro muzeum i zauważyły umywalkę, to w tej chwili wdrapały się po mydło, ażeby je ślinami rozpuścić i mydlinami wyszorować swój ogon. Niewiadomo skąd i jak się z mydłem zapoznały. To jest pewne, że nikt ich tego nie nauczył. Wszystkie inne zwierzęta czują się dobrze i widocznie zapomniały wolne i obszerne puszcze.

Oby czyn p. Fiedlera był bodźcem dla wszystkich tych, którzy mogą przywieźć ładne pamiątki z dalekich stron, a wtedy i nasze instytucje wzbogacą się szybko, a co więcej, będą skarbcem nie zakupionych okazów, lecz zdobytych ręką polską. Tak muzeum, jak i ogród zoologiczny dziękują na tej drodze p. Fiedlerowi za bogate dary.

Dr. WIESŁAW RAKOWSKI.

— **Przybytek żubrów.** — W dobrach Pszczyńskich na Górnym Śląsku po przejściu ich do Polski były tylko 3 żubry: 2 byki i 1 krowa. Powoli przyrost pomnożył ich liczbę. W końcu lipca roku bieżącego znowu przybyło jedno żubrzątko. Obecnie więc jest tam razem 7 żubrów.

— **Wilki w Prusiech.** — Ubiegłej zimy zabito w Prusach Wschodnich 3 wilki. Niedawno jednak nadeszły wiadomości o ukazaniu się wilka, który wyrządza znaczne straty, rzucając się na konie z ogromną zuchwałością. W połowie czerwca zastrzelono tego wilka w miejscowości Trapoenen. Zabita sztuka liczyła 4 — 5 lat, mierzyła 1.70 metr. długości i 0.75 wysokości, a ważyła około 35 klgr. Żołądek miał zupełnie pusty.

— **Czasy ochronne w Saksonji.** — W związku ze srogą zimą ubiegłą władze saskie wydały nadzwyczajne rozporządzenie, podług którego w czasie sezonu myśliwskiego 1929 — 1930 roku polowanie na jelenie-byki dozwolone jest jedynie za specjalnem zezwoleniem władz lokalnych, udzielanem na poszczególną ilość sztuk, i to tylko w czasie od 1-go września do 31 grudnia; łanie i cielęta wolno wyjątkowo odstrzelić od 16 października do 31 grudnia.

Wolno polować na:

Kozły od 16 sierpnia do 15 października. Polowanie z naganką na kozły jest zabronione; również nie wolno polować z psami na kozły.

Zające — od 1 listopada do 31 grudnia.

Kuropatwy — od 1 do 31 października.

Bażanty - koguty od 1 października do 31 grudnia; kury — od 1 listopada do 31 grudnia.

Dzikie kaczki — od 1 sierpnia do 31 października.

Polowanie na daniele jest całkowicie zamknięte.

— **Atak kozła.** — „Wild u. Hund" donosi, że w miejscowości Neustubbern pod Kłajpedą panna Schenkówna oswoiła rogacza i sama mu podawała karmę. Pomimo to kozioł razu pewnego rzucił się na swą hodowczynię i ciężko ją pokaleczył.

— **Czasy ochronne w Turyngji.** — Podług świeżego rozporządzenia władz tej prowincji wprowadzono następujące czasy ochronne: Kozły strzelać można od 1 lipca do 31 października; zające — od 1 listopada do 31 grudnia; kuropatwy — od 1 września do 31 października. W ten sposób znacznie przedłużono czas ochronny.

BIBLJOGRAFJA ŁOWIECKA

„Łowiec" lwowski, organ Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, zamieścił w dwóch swoich numerach sierpniowych następujące prace:

„Z wydawnictw". — „Juljan Fałat" Witolda Ziembickiego. — Aleksandra Przedrzymirskiego „Nasze myszołowy". — „Najpiękniejsze w poleskiej kniei dublety" Poleszuka. — Antoniego Szaszkiewicza „Na styryjskich tokach". — „Notatki bibljograficzne" W. Z. — „Z Tłumackiego" Andrzeja Jakubowicza. — „Z Gnojnika" T. Łysakowskiego. — „Ze Stanisławowa" K. Piórkowskiego. — „Komunikat Wydziału". — „Spis delegatów". — Rozporządzenia ministra rolnictwa". — „Konkurs". — „Z żałobnej karty".

Mieczysława Kruszewskiego „Hagenbeck". — Władysława Czerniejewskiego „W Starakumskiej pustyni". — Dra Stanisława Koźmiana Rejchera „Pies". — „Z Warszawy" Walentego Garczyńskiego. „Z Rzeszowskiego" Stanisława Korwina-Milewskiego. — „Zawody strzelecko-myśliwskie w Grudziądzu". — „Zawody w Truskawcu". — „Konkurs wyżłów". — „Sprawy Towarzystwa". — „Józef Bartmański" A. M.

„Słowo" w lipcowym Dodatku łowieckim wydrukowało: „Dodatek łowiecki na cenzurowanem" Michała K. Pawlikowskiego. — „Pierwsza Polska Powszechna Wystawa Łowiecka w Poznaniu" Mieczysława Mniszka Tchórznickiego. — „Wspomnienia myśliwskie" Stefana Tubana Baranowskiego. — „Łowiectwo w gminie Ilskiej" M. Borowskiego. — „Z Towarzystwa Myśliwskiego w Wilejce". — „Ochrona zajęcy". — „Ankieta - Kwestjonarjusz". — „Od Redakcji". — „Literatura łowiecka" M. P. — „Dział prawny" M. P.

Dr. St. Czaputowicz. **Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej o prawie łowieckiem.** Skład główny w księgarni Hoesicka oraz w Domu Książki Polskiej w Warszawie. Cena 80 groszy. Ukazało się jeszcze jedno wydanie obowiązującego u nas obecnie prawa łowieckiego, zalecające się starannem opracowaniem oraz bardzo dokładnym i przejrzystym skorowidzem.

O materjał o zwierzyńcach. Zbieram dla celów naukowych materjał o dawnych i obecnych zwierzyńcach w Polsce. O ile komu jest wiadome, że ktoś ma lub miał przed dawnemi laty zwierzyniec, proszę jak najuprzejmiej o łaskawe dokładne podanie mi, gdzie był ten zwierzyniec. Proszę też o wiadomości o leśniczówkach i połaciach lasów zwanych zwierzyńcem, o przedmieściach i ulicach miast tej nazwy i t. d. Za wszelkie bliższe dane w tej sprawie, oraz za wskazanie dzieł, w którychby znaleźć można choćby najdrobniejsze wzmianki o dawnych zwierzyńcach, składam zgóry szczere podziękowanie.

Przemyśl, ul. Katedralna 3.
JÓZEF WŁ. KOBYLAŃSKI, kpt.

STRZELNICTWO.

— **Strzelanie do rzutków w Copotach,** urządzone przez gdańskie Towarzystwo Myśliwskie, miało wyjątkowo licznych uczestników z Polski i Niemiec. Nagrody wyznaczone zostały przez magistrat miasta Copot, przez Casino miejscowe i gdańskie Towarzystwo Myśliwskie. Pośród zwycięzców z Polski figurują: pp. Detlow z Zakrzewa pod Grudziądzem (I nagroda), Zieleniewski z Warszawy (2 nagr.), Kiszkurno z Warszawy (3 nagr.), Sztukowski z Warszawy (5 nagr.).

W walce miast „Gdańsk — Warszawa — Królewiec" Gdańsk miał 156 gołębi, Królewiec 147, Warszawa 131. W strzelaniu do grupy 20 gołębi p. Zieleniewski ze Smolicy osiągnął 14 (1 nagr. 17). Nagrodę „Monte Carlo" zdobył p. Detlow z Zakrzewa, drugie miejsce zajął p. Zieleniewski z Warszawy. W rozgrywce o mistrzostwo m. Copot w klasie „A" drugie miejsce zajął p. Sztukowski z Warszawy; w klasie „B" 1-e miejsce — p. Lisowski z Warszawy, a 2-gie ks. Lubomirski, który też zajął 1-e miejsce w klasie „B" Pocieszenia, a p. Lisowski — 2.

ZAWODY STRZELECKIE WE LWOWIE.

Dalszym etapem akcji propagandowej, prowadzonej przez Zakłady Amunicyjne Pocisk S. A., obejmującej teren całego kraju, są obecnie organizowane wielkie zawody strzeleckie we Lwowie w czasie od 12 do 15 września włącznie.

Protektorat nad zawodami raczył objąć dowódca D. O. K. Lwów, gen. bryg. Popowicz.

Strzelanie obejmować będzie następujące kategorje: Broń wojskowa, broń śrutowa i małokalibrowa.

Oprócz nagród, ofiarowanych przez Zakłady Amunicyjne Pocisk S. A., specjalne nagrody ofiarowała Dyrekcja Targów Wschodnich we Lwowie.

Zgłoszenia przyjmują przed zawodami Zakłady Amunicyjne Pocisk S. A. w Warszawie, Mińska 25, Okręgowy Urząd W. F. i P. W. Lwów pl. Bernardynów dla Stowarzyszeń P. W. — Firmy lwowskie: Lwowska Spółdzielnia Myśliwska ul. Akademicka Nr. 3 i Eustachy Dmytrach ul. Legjonów 3.

WIADOMOŚCI HANDLOWE.

Ogłoszenia w gazetach. — Wielu kupców nie docenia potęgi reklamy w gazetach. Jedni sądzą, że jeżeli jednorazowe lub dwukrotne ogłoszenie w dzienniku nie przyniosło im pożądanego skutku, to nie opłaci się ogłaszać. Są nawet i tacy, którzy twierdzą, że wydawanie pieniędzy na ogłoszenia w gazecie jest rzeczą straconą. Tacy kupcy danie pismu ogłoszenia uważają za wielką łaskę ze swej strony i domagają się za to specjalnej wdzięczności.

Inaczej o ogłoszeniach sądzą wytrawni kupcy, prowadzący handel na większą skalę.

Jeden z królów reklamy, amerykanin Baechem, uważa za najskuteczniejsze ogłoszenie w gazetach, gdy trwa najdłużej, jeśli jest poważnie i rozsądnie ułożone. Należy tylko pamiętać, że jednorazowe ogłoszenie ma małe znaczenie. Nazwisko firmy i przedmiot ogłoszenia powinny się stale rzucać w oczy.

Pewien kupiec berliński pisze, że gdy zaczął ogłaszać w gazetach swój interes — w pierwszym roku wydał na ogłoszenia 100 mk., — to obrót zwiększył się o 1000 marek. Gdy na ogłoszenie wydał 2000 mk., zbyt jego powiększył się o 100 tys. mk. Twierdzi on dalej, że 90 proc. obrotów swoich zawdzięcza ogłoszeniom.

Inny znów kupiec z Hamburga tak ocenia skutek ogłoszeń, mówiąc o konieczności wielokrotnych ogłoszeń: Pierwsze ogłoszenie mało kto widzi. — Drugie już widzą, ale nie czytają. — Za trzecim czytają, lecz wnet zapominają się interesować ceną. — Za piątym... już o ogłoszeniu rozmawiają ze znajomymi. — Przy szóstem ogłoszeniu ma się już ochotę kupić. Za siódmem idzie się po towar.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów.
Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.

Redaktorzy: **Juljan Elsmond i Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Centr. Związek Polsk. Stow. Łowieckich.**

Konkurs na opracowanie popularnego podręcznika łowieckiego dla straży leśnej i łowczych.

Wydział Wykonawczy Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich ogłasza niniejszem konkurs na opracowanie popularnego podręcznika łowieckiego z następującą treścią poszczególnych rozdziałów:

1. Znaczenie łowiectwa pod względem
2. Przygotowanie terenów pod względem łowieckim (lizawki, wodopoje, remizy, rośliny).
3. Tępienie drapieżników (sposoby).
4. Hodowla zwierzyny łownej.
5. Krótki zarys tresury psów myśliwskich.
6. Przygotowanie i urządzanie polowań wiosennych, letnich, jesiennych i zimowych.
7. Obowiązki i sposób zachowania się służby leśnej (łowieckiej) przed, podczas i po polowaniu.

Nagroda za najlepszą pracę wynosi złotych 300, oprócz normalnego honorarjum autorskiego. Praca nagrodzona staje się własnością Centralnego Związku i będzie wydrukowana w „Łowcu Polskim", a następnie wydana w odbitce książkowej. Pożądane jest, aby rozmiary pracy nie wykraczały po za 100 stron druku, formatu małej książki. O ile żadna praca nie będzie w całości odpowiednia, zastrzega się ewentualne połączenie części różnych prac w jedną całość, z podaniem nazwisk autorów, między których rozdzielona byłaby nagroda.

Nadające się części pozostałych prac nienagrodzonych będą mogły być umieszczone w „Łowcu Polskim", z przyznaniem honorarjów autorskich.

Prace opatrzone być mają godłem, przyczem dołączyć należy zaklejoną kopertę z takiemże godłem, zawierającą nazwisko autora.

W skład Komitetu Sędziów wchodzą pp. St. Lilpop — przewodniczący i H. Knothe z prawem kooptacji.

Termin nadsyłania prac upływa z dniem 1-go października r. b.

Prace konkursowe powinny być napisane na maszynie.

WYDZIAŁ WYKONAWCZY
CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSK. STOW. ŁOW.

Na polowaniu.

Panie, panie!.. za wysoko pan mierzy do tego zająca.
To nic, może zając podskoczyć... nie można wiedzieć.

Zając i baba.

O lo Boga, Wojtek, będzie zemną niescęście, bo mi zając drogę przeleciол!

E, nie bajta, matulu, gorzej będzie zającowi, bo mu baba drogę przelazła.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warecka 15.